POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień ***Dnia 8-go—15-go kwietnia 1944r.*** **Rok VI. Nr. 14-15**

PROSTE DROGI

REDAKCJA "POLSKI WALCZĄCEJ" ŁĄCZY SIĘ Z CZYTELNIKAMI SWOIMI, WSPÓŁPRACOWNIKAMI I PRZYJACIÓŁMI, WSZĘDZIE GDZIEKOLWIEK SĄ W NAJGORĘTSZYM ŻYCZENIU POWROTU DO POLSKI WOLNEJ I NIEUMNIEJSZONEJ — ZMARTWYCHWSTAŁEJ Z DUCHA I CIAŁA DO NOWEGO, SZCZĘŚLIWEGO ISTNIENIA

W kościołach polskich w dzień Zmartwychwstania rozbrzmiewała zawsze pieśń radości: "Wesoły nam dziś dzień nastał". Jeśli dziś nie zamilkła zupełnie, to będzie śpiewana ze łzami. W myślach bowiem wszystkich Polaków stają raczej słowa niewiast ewangelicznych "Któż nam odwali kamień do drzwi grobowych".

UMIERANIE WZNIOSŁOŚCI

Pogrzebane są weselne pieśni wielkanocne i wydaje się jakby miały być pogrzebane hasła i zasady chrześcijańskie przez kierowników Narodów Zjednoczonych, na początku wojny tak powszechnie głoszone.

Dawali narodom obietnice i gwarancje oparte na etyce chrześcijańskiej, a nie wiedzieli czy mają siły do wykonania. Dawne gwarancje, dawane Czechosłowacji i Polsce były zbyt szczegółowe i nie dały się wykonać, więc postanowiono obecnie dawać je w sposób mniej określony. Nie było to wyraźne, więc spodziewano się, że ta niejasność właśnie pozwoli na takie tłumaczenie, jakiego każdy będzie pragnął i na tym oprze się wiara w słuszność sprawy Sprzymierzonych.

Przeważnie uwierzono. Uwierzyli w każdym razie Polacy i złączyli się z narodami anglosaskimi na śmierć i życie. Obietnice wprowadzenia w stosunki ludzkie chrześcijańskiej prawdy i sprawiedliwości nie zaczęły się jednak spełniać, więc narody zaczęły wołać o jaśniejsze wypowiedzi, po co krew ich synów się leje, w jakim celu toczy się ta wojna.

Wtedy nadszedł drugi okres określania celów wojny. Stoi on pod znakiem "Karty Atlantyckiej". W niej już były zasady wyraźniejsze, więc — wolność, prawo narodów do stanowienia o sobie, wyłączenie ze stosunków ludzkich siły, gwałtu i ich odpowiednika: niewoli.

Karta przyjęta była przychylnie. Nie badano zbytnio jej prawnego charakteru i skutków stąd płynących, albowiem znowu wystarczały spragnionym ludom zapowiedzi w niej zawarte. Nie roztrząsano zbytnio jej słów, co one znaczą i co znaczyć mogą, wystarczało, że są piękne cele, że ktoś o tych celach myśli, że się krew nie leje daremnie. I uwierzono "Karcie Atlantyckiej".

Wiara ta została wzmocniona u narodów anglosaskich przez przystąpienie Rosji do "Karty Atlantyckiej". Było to takim triumfem dla "Karty", że za tę cenę wielu jest skłonnych zgodzić się na to, czegoby Rosja zachciała. A czego chciała, wiemy. A tym, którzy nie wiedzieli, wyłuszczono miarodajnie w znanym przemówieniu. Miał to być pogrzeb dla polskich nadziei, ale był to tylko pogrzeb "Karty Atlantyckiej".

USPOKAJANIE ROZCZAROWAŃ

Pamiętne przemówienie było ciosem dla Polaków, tematem dla wrogiej propagandy i ostrzeżeniem dla neutralnych.

Goebbels mówił: "Gdyby Polacy wiedzieli, że ich sprzymierzeńcy dadzą połowę Polski bolszewikom, toby byli klucze od Gdańska przynieśli Hitlerowi na złotej tacy".

W świecie neutralnych powstał popłoch, obawa o własne kraje. Wszędzie prasa wskazywała na los Polski — i chyba nie było to bez wpływu na zachowanie się Turcji i Finlandii, a może i innych krajów, które teraz bez protestów pozwalają się okupować.

Po tym uderzeniu zaczęto nas uspokajać. Nie macie zmysłu realizmu, *common sense'u*, jesteście romantykami, macie *"inveterate historic memory"*.

Nie mogło to uspokoić, bo nie mogło przekonać. W naszym ustroju społecznym nie było stanu średniego. Mieliśmy szlachtę i chłopów. Szlachta pozostawiła jako spadek dziejowy — wśród wielu złych rzeczy — rycerską tradycję bitewną, a mając ustrój tak demokratyczny, że aż graniczył z anarchią, przyzwyczaiła Polaków do wolności. Będąc zaś z zawodu rolniczą — miała umiłowanie ziemi. To wszystko przeszło na warstwę chłopską. Tradycje rycerskie Polski, pęd do wolności i umiłowanie ziemi — objawiły się u żołnierza polskiego, pochodzącego w 3/4 częściach z warstwy chłopskiej, w taki sposób, że gdyby szlachta tak te trzy cnoty umiała pielęgnować, inaczej byłyby się potoczyły polskie dzieje.

Natomiast nie było u nas stanu średniego, kupca, przemysłowca, przyzwyczajonego do obliczania zysków i strat i wybierania tego, co jest korzystniejsze.

Inaczej potoczyły się dzieje naszych braci Czechów. Im wybili pod Białą Górą warstwę rycerską, chłop zaś wówczas nie był zdolny przejąć po niej rycerskiej tradycji. Dlatego długo trwała ich niewola i nie było powstań, jak u nas, które zawsze tyle najlepszej krwi kosztowały. Natomiast wykształcili warstwę średnią, kupiecką, co wraz ze zdrowym rozumem chłopów pozwalało prowadzić politykę, dającą im w tej zawierusze największe możliwie korzyści.

Ale to już trudno. Charakteru narodowego się nie zmieni, romantyzmu naszego wyplenić się nie da, a *"inveterate historic memory"* jest dla nas źródłem natchnień i wiary w przyszłość.

SPOKÓJ WIERZĄCYCH

To też gdy ta wiara przemówieniem Churchilla została zachwiana, zaniepokoiliśmy się, lecz nie na długo.

Przemówienia mężów stanu nie zawsze mają długi żywot. Czasem są tylko wyrazem chwili, później są odwoływane, po czym znowu zmartwychwstają. Przykładów tego dość jest na każdej stronicy książki *"Guilty Men"* /autor: "Cato"/, a zwłaszcza w ustępach odnoszących się do gwarancji dla Czechosłowacji. Po zgodzie na odstąpienie Hitlerowi Sudetów, Chamberlain oświadczył, że "nowy system gwarancji /przez W. Brytanię i Francję/" da nowej Czechosłowacji większy spokój, niż kiedykolwiek miała w przeszłości.

Kiedy jednak, ku zdumieniu Chamberlaina, Hitler zajął Pragę, Chamberlain zgodził się z tym w słowach, robiących wrażenie przykre i uznał gwarancję Anglii za wygasłą — bez protestu zresztą ze strony Izby Gmin. A obecnie Rząd J.K.M. znowu uznał układy monachijskie za nieważne.

I my słyszeliśmy kiedyś, że "Polska jest natchnieniem świata", później usłyszeliśmy, że połowę natchnienia zgodzono się dać — Rosji. Może znowu przyjdzie czas, że usłyszymy jakieś lepsze słowa nadziei.

Druga rzecz. Napoleon wyzyskiwał Polskę dla swych celów. Używał krwi polskiej do ostateczności, wiedział dlaczego i o co Polacy biją się, i mógł im to dać, lecz tego nie zrobił. A jednak Polacy nie opuścili go do ostatniej chwili. Bo chcieli dotrzymać żołnierskiego raz danego słowa. Honor nie pozwolił im opuścić nawet tego, który ich skrzywdził. Ten honor Książę Józef swą śmiercią opłacił.

I my powiedzieliśmy raz, że bijemy się o wolność własną i za wolność innych. I tak będziemy — do końca.

Bo chcemy dotrzymać sojusznikowi wiary. Bo chcemy być tym natchnieniem — na zawsze.

A wreszcie sprawa trzecia. Możemy odczuwać boleśnie wypowiedzi naszych sojuszników. Ale my wierzymy w naród angielski i w naród amerykański. Uwierzyliśmy słuchając gorących słów Churchilla i Roosevelta o narodzie polskim. Wierzymy, że masy pracujące Anglii będą nadal orędownikami wolności Polski tak, jak tylokrotnie wypowiadały się przez swoich posłów, członków rządu i kierowników partyjnych. Z wdzięcznością słuchaliśmy obrony naszych praw, wygłaszanej przez angielskich książąt kościoła katolickich i protestanckich i słyszeliśmy w ich słowach miliony głosów tych, których są duchowymi przewodnikami.

Wierzymy również w rozum polityczny obu wielkich narodów anglosaskich, bo inaczej nie wydawałyby takich ludzi, jak Roosevelt i Churchill. Wierzymy, że ten rozum uświadomi w końcu tym narodom prawdę, iż tak jak jednostka jest bezpieczna, gdy jest bezpieczeństwo w państwie, tak państwo jest bezpieczne, gdy istnieje bezpieczeństwo na świecie.

Przede wszystkim jednak wierzymy — w siebie, w to, że nikt i nic nas nie odstraszy od obrony naszych praw, których będziemy bronić bez przerwy i do końca.

Wojna ma dwa cele, jeden nakreślony przez ludzi, drugi przez samą wojnę, którą prowadzą siły od ludzi niezależne, a które wierzący nazywają Opatrznością.

Ludzkie proroctwa okazały się w tej wojnie błędne, nadzieje pozostały pragnieniem. Zwycięstwo jest często klęską, jak było z Francją po 1918 r., a klęska zwycięstwem, czego znowu przykładem Niemcy również po wielkiej wojnie.

Nie trzeba się dać zwieść zewnętrznym obrazom chwili, nie należy poddawać się obawom, potęga bowiem leży nie w programach i słowach ludzkich, ale w sumie tych wszystkich sił, jakie ludzkość nagromadziła w swoim pochodzie cywilizacyjnym i w narodach umieściła. Te wartości mamy i one nam zapewnią zwycięstwo tak, jak nam po poprzedniej wojnie, wbrew rozumowym rachubom ludzkim, dały — Zmartwychwstanie.

STANISŁAW SZURLEJ

rys. ZDZISŁAW BORYSOWICZ

Anglia i Europa

"... it was one of the weaknesses of British policy of that period, that it would never believe what was obviously coming next ..."
The Economist, 18 marca, 1944 r.

DAWNE I BRZEMIENNE W SKUTKI WYDARZENIE

14 lutego 1654 roku Cromwell przyjmował w Whitehallu wysłanników małego księstewka w północno-zachodnim kącie Niemiec — Oldenburga. Mocodawca wysłanników, hrabia Antoni Günther robił wszystko, by zyskać życzliwość i poparcie Londynu. Anglia nie potrafiła jednak utrwalić swych wpływów nad tym skrawkiem wybrzeża niemieckiego, który potem okazał się tak istotny i ważny dla rozwoju potęgi morskiej Drugiej Rzeszy. Jeden z następców hrabiego Antoniego, Wielki Książę Piotr von Oldenburg odstąpił w 1853 roku część oldenburskiego wybrzeża królowi pruskiemu. Z czasem zbudowano tam wielki port wojenny Wilhelmshafen. "Dopiero dzięki temu — pisze historyk niemiecki Oncken — stało się możliwe, że na Morzu Północnym pojawiła się bandera niemieckiej floty".

W roku 1864 Anglia nie przeszkodziła Niemcom w zdobyciu Szlezwiku i Holsztynu. "Nowa Rzesza Niemiecka nie mogłaby być stworzona — znowu zauważa Oncken — bez wejścia w suwerenne posiadanie całego wybrzeża morskiego od Emden do Kłajpedy". W 1890 Anglia oddała Niemcom Helgoland, wybrawszy w zamian Zanzibar. Wpływy niemieckie, w zasięgu *Home Fleet* zostały tym ostatecznie umocnione.

Sumienny historyk angielski oczywiście potrafiłby mi zapewne udowodnić, że w chwili gdy wspomniane wypadki historyczne się rozgrywały, polityka angielska, kierowana realizmem, nie mogła postępować inaczej. Trudno by nawet było z nim polemizować. Bawimy na tej wyspie nie jako turyści, zapoznający się gruntownie z dziejami, kulturą i polityką tego kraju. Bawimy tu na wygnaniu, skazani na poświęcenie każdej chwili przede wszystkim interesom naszego własnego narodu. Brakuje więc czasu na pogłębianie tych wszystkich wiadomości, które chciało by się zebrać o Wielkiej Brytanii i roztrząsnąć dokładnie. Nie mniej nie można przeoczyć zjawisk politycznych, aż nazbyt rzucających się w oczy.

SUBSYDIA I NIEZDECYDOWANIE

Wracam więc znowu do polityki angielsko-niemieckiej. Fryderyk II — literatura angielska zawsze go nazywa Wielkim — jest twórcą nowoczesnych Niemiec przez to, że był budowniczym potęgi Prus. Nie byłby może "Wielkim", gdyby nie kredyty angielskie. 7 lutego 1795 roku Richard Brinsley Sheridan poruszył w Izbie Gmin sprawę innych, nowych subsydiów udzielonych przez Anglię następcy Fryderyka II. Mowę swą zakończył rezolucją, stwierdzającą, że: "król pruski otrzymał ze skarbu Wielkiej Brytanii sumę 1.200.000 funtów i że ... król pruski nie dopełnił warunków traktatu, na którego podstawie subsydia te były mu udzielone".

Bismarck spotykał się raczej z poparciem polityki brytyjskiej. Stary Chamberlain, Józef, ofiarował Wilhelmowi II sojusz, którego cesarz nie przyjął, bo już decydował się na walkę z Wielką Brytanią. Wojna 1914 — 1918 była procentem zapłaconym Anglii przez pruskie Niemcy za wszystkie okazane im względy. Po Traktacie Wersalskim polityka brytyjska znowu uznała za stosowne nie odmawiać Niemcom swego życzliwego poparcia. Wojna 1939 — 194 ... jest procentem zapłaconym Londynowi przez Berlin za Monachium.

Praca moja jest ostatnio tak ściśle ograniczona do tematów niemieckich, że nie odważyłbym się rozszerzać wachlarza tych przykładów na posunięcia brytyjskiej polityki zagranicznej wobec innych mocarstw. Robię więc tylko ogólne zastrzeżenie, że było by błędem upatrywać w rozwojowej linii polityki brytyjskiej cechy tylko jakiejś — filoniemieckości. Cechą charakterystyczną natomiast polityki brytyjskiej niewątpliwie było, jak dotąd, małe zdecydowanie. Brak ten, zdaniem Sir James'a Headlam-Morley'a /we wstępie do *"Studies in Diplomatic History"*/, "jest bardzo niewygodny dla tych innych narodów, które pragną z nami współpracować, oraz może łatwo stwarzać pozór słabości". Brak jasnych i powziętych w porę decyzji uwypuklał się w szczególności wtedy, gdy trzeba było odchodzić od utartych ścieżek zagranicznej polityki. Przez sto lat Downing Street nie zdołała na przykład wyciągnąć wniosków z faktu, że Francja przestała być dla Wielkiej Brytanii dziedzicznym konkurentem nr. 1.

WIERNOŚĆ ZASADOM I REALIZM

Niezdecydowanie polityki zagranicznej Wielkiej Brytanii zbiegało się natomiast zawsze z jasną i niedwuznaczną linią zasad, głoszonych w zakresie stosunków między narodami przez brytyjskich mężów stanu. 29 października 1858 John Bright wołał w parlamencie brytyjskim: "Wierzę, że nie ma trwałej wielkości narodu, o ile wielkość ta nie jest budowana na moralności". 27 listopada 1879 wielki Gladstone wśród podstawowych zasad polityki zagranicznej Anglii wymieniał: "... zasadę uznania równych praw wszystkich narodów oraz ... że polityka zagraniczna Anglii powinna być zawsze natchniona miłością wolności". David Lloyd George 19 września 1914 głosił nienaruszalność zawartych traktatów, oraz prawo małych narodów do życia. "Świat — mówił — zawdzięcza wiele małym narodom i małemu człowiekowi".

Wielka Brytania jednak nie interweniowała zdecydowanie, czynnie na rzecz Polski w ciągu XIX-go wieku. Brytyjscy mężowie stanu nie szczędzili serdeczności pod adresem narodu polskiego, ale ich stanowisko polityczne najlepiej odzwierciedlają słowa Beniamina Disraeli'ego, dlaczego Wielka Brytania zbrojnie nie poparła polskich powstań narodowych. "Rząd — mówił Disraeli — doszedł do przekonania, że po pierwsze nie było by wskazane dla Anglii iść do wojny o odbudowę Polski i — po drugie, jeżeli Anglia nie jest przygotowana do wojny, to jakiekolwiek mieszanie się w tę sprawę z jej strony mogło by tylko pogorszyć nieszczęścia tego dotkniętego losem narodu".

Anglia nie była więc gotowa interweniować wszędzie tam, gdzie gwałcono zasady, głoszone przez jej mężów stanu. Po prostu dlatego, że, jak bardzo słusznie powiedział tu już cytowany Sir James Headlam-Morley: "Jak wszystkie inne kraje, Anglia ma tylko ograniczony zasób siły, bogactwa, kredytu i politycznych wpływów, odnoszenie zaś sukcesów wymaga ostrożnego gospodarowania zasobami. Kraj ten bardziej może, niż jakikolwiek inny, jest narażony na niebezpieczeństwo dążenia do sprzecznych z sobą celów i budzenia politycznej opozycji ... tylko dlatego, że interesy jego obejmują cały świat". Głębsze zastanowienie się nad tymi słowami wytłumaczy nam, jeżeli nie wszystko, to w każdym bądź razie bardzo wiele z tak zwanego — realizmu polityki brytyjskiej, ostrożnego realizmu.

ROMANTYZM NARODU REALISTÓW

Mimo realizmu swej polityki, Wielka Brytania porywała się często na czyny, nie mające żadnych uzasadnień w trzeźwej kalkulacji. Z romantyczno-awanturniczych przygód John Hawkins'a i Francis Drake'a wyszła potęga morska Wielkiej Brytanii. W czasie wojen napoleońskich Anglia konsekwentnie i uparcie trwała przy wydanej Francji wojnie morskiej. Chociaż były lata, że w walce tej była zupełnie odosobniona, mając przeciw sobie nawet swych byłych lub późniejszych sprzymierzeńców /Prusy i Rosję/.

Admirał Sir Herbert Richmond /*"British Strategy"*, Cambridge, 1941/ pisze o tych latach: "Współpraca z rządami, które dążyły do urzeczywistnienia swych własnych celów, łamały powzięte zobowiązania i inkasowały swoje subsydia bez starania o dopełnienie powziętych zobowiązań — była niemożliwa". Anglia jednak trwała, choć pozornie wszystkie siły były przeciw niej.

W obecnej wojnie najjaśniej, najpiękniej zarysowała się postawa Wielkiej Brytanii nie w czasie zwycięstw afrykańskich czy w czasie rozpoczynania kampanii włoskiej, lecz w okresie — Dunkierki. Anglia — polityczny realista, była romantykiem pozornie już przegranej walki. Nie szukała wyjścia z trudności w zmianie polityki zagranicznej. Przeciwnie. Umacniała raz zajęte pozycje, broniła się do upadłego.

Ten jakże bardzo powierzchowny, niepełny przegląd polityki zagranicznej Wielkiej Brytanii odkrył nam różne jej oblicza. Obok chwiejności postępowania, nieugiętość głoszonych zasad, obok realizmu, milczącego nieraz wobec jawnych gwałtów międzynarodowego prawa, romantyzm chwil decydujących o losach narodu brytyjskiego. Która z tych cech polityki brytyjskiej w przeszłości, zadecyduje o roli Wielkiej Brytanii w przyszłości i która przez to zaciąży na losach Europy?

PRZYSZŁOŚĆ I OCENA WŁASNYCH MOŻLIWOŚCI

W artykułach *"Times'a"* z końca zeszłego roku, poświęconych polityce zagranicznej Wielkiej Brytanii, oraz w znanym przemówieniu marszałka Smutsa górowała przede wszystkim troska o to, aby Wielka Brytania nie zaciągała zobowiązań międzynarodowych ponad swe siły:

"Disaster lies ahead unless the principle of the relation of commitments to capacity is more firmly grasped and applied by the makers of British policy in the future than it has been in the recent past." — (*"Times,"* 20 listopada, 1943 r.)

Jest to podkreślenie potrzeby realizmu, z czego może wyniknąć bardzo dla Wielkiej Brytanii niebezpieczna chwiejność polityki zagranicznej. Właśnie dlatego, że siły narodu, jego "capacity", mogą być bardzo różnie przez różnych mężów stanu oceniane. Czy publicysta *"Times'a"* uznałby, powiedzmy, siłę floty Elżbiety za wystarczającą do targnięcia się na potęgę Filipa II? Czy trwałby, wbrew antybrytyjskiej umowie Rosji, Szwecji, Danii i Prus z 1800, w wojnie blokadowej wydanej Francji?

Siła narodu składa się w dużej mierze z wartości moralnych, drogą spekulacji najzupełniej niewymiernych. Są wybitni politycy, którzy nigdy tych wartości narodu nie potrafią wydobyć na światło dzienne. Są mężowie stanu, którzy wartościami tymi, jako argumentami międzynarodowymi, grają lepiej, niż produkcją, finansami i sojuszami. Historia powie to kiedyś o Anglii Churchilla.

Te dynamiczne wartości moralne przetrwały do dziś na wyspach brytyjskich, żyją też we wszystkich dominiach. Nie mogę zgodzić się z wybitnym dziennikarzem amerykańskim, który starał się przekonać mnie, że żołnierz brytyjski już dzisiaj o niczym innym nie myśli jak o raporcie Beveridge'a, o budownictwie domów, przyszłych zarobkach i przyszłej opiece socjalnej. Trzeba by — czego mój Amerykanin dotąd nie miał okazji zrobić — zobaczyć inżynierów brytyjskich, zakładających u progu Sahary, w najprymitywniejszych warunkach lotniska. Trzeba by mu zobaczyć żołnierzy australijskich nieugięcie wytrzymujących niepowodzenia afrykańskie. Trzeba by stykać się więcej z młodymi marynarzami brytyjskimi i pełnymi poświęcenia lotnikami, aby mieć inne zdanie.

EUROPA POSTAWIŁA NA ANGLIĘ

Na te wartości moralne narodu brytyjskiego postawiła Europa, walcząca o prawo do swobodnego życia jednostki i narodów. Nie żadne mocarstwo europejskie, a po prostu Europa. Ta Europa, która swą kulturę wzięła z małych Aten. Ta, której etykę dał nie władca wielkich armii, władyka bogatych surowców i posiedziciel pękatych kont bankowych, lecz Chrystus, wędrujący wśród ubogich. Przez całą wojnę Europa słuchała radia londyńskiego, jak Ewangelii. Wysłannicy ruchów podziemnych wszystkich krajów europejskich szli z zaufaniem do swych przedstawicieli skupionych w Londynie po instrukcje. Tak długo, póki nie zaczęły się spekulacje o — zgodność rozwiązań międzynarodowych z materialną siłą.

Wielka Brytania w tej wojnie stała się po raz pierwszy w nowoczesnej historii jedynym decydującym ośrodkiem politycznym Europy. Zyskała po raz pierwszy w swych dziejach w ogóle możliwość zorganizowania tej Europy według zasad, którym zawsze była wierna, choć ich nie zawsze chciała, czy była w możności bronić. Nie zrobiła tego dotąd, mimo pewnych luźno, niewiążąco rzuconych inicjatyw, gdyż organizację polityczną Europy pojęto jako koncert mocarstw, a problemy europejskie, jako obowiązek napełnienia pustych żołądków. A Europa ma całkiem inne dążenia i potrzeby.

Gladstone sześćdziesiąt i pięć lat temu widział Anglię, jako stróża opiekuńczego rodzącego się ruchu narodowego Bałkanów. O młodych tych narodach mówił: "Miały one pełną skłonność sympatyzowania z nami, chęć wierzenia nam. Jako społeczeństwa, pragną one wolności, pragną same się rządzić, bez jakiejkolwiek agresywnej myśli ... Skoro jednak stwierdziły, że nie znajdują słów, jakimi mogłyby trafić do serca Anglii poprzez jej rząd, albo do serca innych mocarstw i że Rosja jedyna jest skłonna za nie walczyć, powiedziały, że Rosja jest ich przyjacielem". Choć rzekoma powtarzalność sytuacji historycznych jest argumentem bardzo zwodniczym, to jednak nie można tu nie dojrzeć pewnych podobieństw.

CO WYDAJE SIĘ NAKAZEM REALIZMU

Wróćmy jednak do realizmu. Polityka zagraniczna Wielkiej Brytanii nie zauważyła narastającej siły Prus, nie umiała powstrzymać pęcznienia potęgi Niemiec. Przecież w przeciwnym razie nie pomagałaby w wychowywaniu sobie przeciwnika w dwóch światowych starciach. Można dziś ryzykować twierdzenie, że Wielka Brytania najzupełniej też nie docenia obecnej, potencjalnej siły Europy. Tej Europy, która nie pokrywa się ani terytorialnie, ani ludnościowo z uznanymi mocarstwami, jest poza nimi.

Czy na przykład ktoś w Anglii zastanowił się, że gdyby wojny nie było, Polska liczyłaby w połowie wieku XX-go przeszło 40 milionów mieszkańców? Czy ktoś zadał sobie trud skalkulowania, jaką wartość ekonomiczną mogą w przyszłości przedstawiać inne gospodarczo dotąd niedorozwinięte kraje Europy? Jaki może od tej strony nastąpić przewrót w europejskim układzie sił? Przewrót bodaj większy, niż gwałtowne urodziny wielkich Niemiec z zalążka nędznej Brandenburgii?

Odpowiedź na każde z postawionych tu pytań może wskazać źródła siły, potrzebnej — według *"Times'a"* — dla zaciągania przez Wielką Brytanię nowych, szerszych europejskich zobowiązań, zobowiązań — moim skromnym zdaniem — potrzebnych dla podtrzymania egzystencji brytyjskiego *Commonwealth*. I jeszcze do tej chwili — Wielka Brytania ze względu na szczególną sytuację polityczną, która z Londynu zrobiła pępek Europy, jest w stanie pokusić się o urzeczywistnienie tych możliwości. Jest do tego więcej, niż jakiekolwiek inne mocarstwo, powołana, gdyż wobec niej nie grają te szczególne uprzedzenia, jakie oddziałały na stosunek /za wyjątkiem Francji/ mniejszych narodów europejskich do innych możnych tego świata.

Podjęcie tej akcji politycznej nie jest łatwe. Wymagać ona będzie — o ile Anglia myśl taką wreszcie podejmie — i nowego Clive'a i Warren Hastingsa i nowego Disraeli'ego, którzyby w zespolenie Wielkiej Brytanii z Europą zechcieli wnieść tę samą inicjatywę i poświęcenie, jakie ci wielcy budowniczowie Imperium wnieśli w rozszerzanie wpływów brytyjskich po siedmiu oceanach. Oczywiście z docenieniem — istotnych różnic w miejscu, czasie i sposobie działania. Akcja ta wymagać będzie przede wszystkim przełamania podejrzliwości możnych tego świata między sobą. Podejrzliwość ta już i tak bardzo ciąży nad polityką międzynarodową.

Realizm brytyjski oczywiście zechce pytać o gwarancje powodzenia. Odpowiedzi na to pytanie nie ma. Jak rozumowo nie było także uzasadnienia dla wiary Churchilla w zwycięstwo — po Dunkierce. Raczej, wydaje się, że nie ma dziś innej alternatywy dla Wielkiej Brytanii, która — bez Europy, lub w Europie ograniczona tylko do bezpośredniego swego sąsiedztwa z drugą stroną Kanału, stanie się izolowana w świecie. I należy się obawiać, że nie ma też innej alternatywy dla Europy. O ile Europa ma pozostać dla świata tym, czym była w rozwoju kultury i cywilizacji dotychczas.

23 marca 1944 r.

JÓZEF WINIEWICZ

Rezurekcyjne dzwony

Wiersz niniejszy został przesłany redakcji "Polski Walczącej" z tułaczej drogi, dotąd nie zakończonej. Dlatego nie może być podpisany.

Zaszumiał wiatr w burianach het na stepie,
załkały w czarnym niebie gwiazd miliony.
O, cicho! Milczcie! Chcę usłyszeć lepiej,
jak grają dziś rezurekcyjne dzwony.

W proch się rozpada godzin złych zgnilizna
i dni, pokrytych głodem, niby pleśnią;
w mym sercu Bóg zmartwychwstał i Ojczyzna
w rezurekcyjnych dzwonów srebrnej pieśni.

Zapomnieć chcę o brudnej wstrętnej norze,
o okrucieństwach ludzkich i podłości ...
O, naucz Ty mnie, zmartwychwstały Boże,
jak żyć w niewoli i jak żyć najprościej.

O, naucz mnie przebaczać wszystkim wrogom,
o, naucz mnie pokory, dobry Chryste,
i w moje serce wwiej nadzieję błogą,
że zmartwychwstanę tak, jak Tyś
zmartwychwstał.

Na skrzydłach wiatru ponad kraj czerwony,
co krwi szkarłatem niebo zarumienił,
przynoszą mi rezurekcyjne dzwony
Ojczyzny chorej smutne pozdrowienie.

Najdroższe słowa w ukochanej mowie,
kwitnących w duszy wspomnień wonnych
brzemię ...
O, grajcie, dzwony! nieście słodki powiew
wiosennych pól, dalekiej polskiej ziemi!

A w Polsce, gdy w kościele przepełnionym
procesja ruszy, braci tłum powstanie,
zagrajcie im, rezurekcyjne dzwony,
zagrajcie pieśń o dzikim Kazachstanie!

O ludziach, skutych smutkiem i żałobą,
o głodnych dzieciach — niech usłyszy kościół
i niech usłyszy Bóg, co powstał z grobu,
jak my pragniemy cudu i wolności!

Granica polsko-niemiecka

PRZESZŁOŚĆ i PRZYSZŁOŚĆ

Jednym z czynników obrony przed zaborczością państwa i narodu niemieckiego, musi być takie ukształtowanie przyszłych granic Niemiec, które utrudni agresję i da sąsiednim państwom zagrożonym możność skutecznej obrony. Doświadczenia wskazują na to, że oparcie bezpieczeństwa tych państw na wierze w pokojowość Niemiec, oraz układy i zobowiązania, zaciągnięte przez Niemcy, było by złudne. Stąd nowy układ pokojowy musi zmierzać, także pod względem ukształtowania granic, do uniemożliwienia Niemcom — w drodze faktycznej — podjęcia w przyszłości na nowo polityki napastniczej.

Zaborczość żywiołu niemieckiego zwraca się uporczywie od tysiąca lat ku wschodowi. Najbardziej wystawione na niebezpieczeństwo są przeto dwa państwa zachodniosłowiańskie: Polska i Czechosłowacja. Od wieków niemiecki *Drang nach Osten* zmierza do zniszczenia obcych ludów, żyjących na wschód od Prus i do przejęcia ich obszarów. Pierwsze uległy Czechy.

U schyłku wieku XVIII-go z inicjatywy Prus i przy ich najsilniejszym współdziałaniu, dokonały się trzy rozbiory Polski. Przez cały okres ujarzmienia Polski polityka pruska najmocniej przeszkadzała wszystkiemu, co mogło by zapowiadać odbudowę państwa polskiego i podtrzymywała w tej mierze, chwiejną czasem, politykę rosyjską. W czasie pierwszej wojny światowej, Niemcy próbowały pozyskać sobie Polaków do współdziałania w wojnie przeciw Rosji i ogłosiły w tym celu deklarację, zapowiadającą odbudowanie Polski. W istocie miały na myśli utworzenie państewka wasalnego, odpowiadającego mniej więcej dzisiejszemu obszarowi okupacyjnemu, zwanemu *General-Gouvernement*.

Ta polityka niemiecka, prowadzona jest w różnych warunkach, z tą samą zawsze niezachwianą systematycznością i konsekwencją. Mężowie stanu, historycy i publicyści niemieccy od 150 lat gromadzą dla tej polityki argumenty i uzasadniają potrzebę zagrabienia polskiej ziemi i wytępienia ludzi, którzy ją zamieszkują. Plan ten jest dziś wykonywany.

Przedmurzem Polski wobec naporu niemieckiego są od wieków dzielnice zachodnie, kolebka państwa polskiego: Pomorze, Poznańskie i Śląsk. Ludność ich jest najczyściej polska z całej Rzeczypospolitej. Według ostatniego spisu ludności z r. 1931, liczba Polaków na Śląsku wynosiła 92.3%, w Poznańskim — 90,5%, na Pomorzu — 89.9% ogółu ludności. Przy ukształtowaniu granic Polski w traktacie wersalskim przestrzegano niestety zbyt jednostronnie zasady etnograficznej, co pozostawiło w obrębie Niemiec znaczne obszary polskie, częściowo tylko i świeżo zniemczone. Było to tym szkodliwsze, że spowodowało zlekceważenie względów gospodarczych, a zwłaszcza strategicznych. Wynikła stąd dla Niemiec nowa granica na wschodzie, która dała im od razu przewagę nad Polską i dogodne bazy wypadowe dla przyszłej wojny.

Nowy układ pokojowy musi tak ukształtować zachodnią granicę Polski i w taki sposób związać ją strategicznie z granicą zachodnią i północną Czechosłowacji, by mogła stanowić dostatecznie silny wał ochronny dla całej Europy wschodniej, nie wyłączając Rosji. Bezpieczeństwo tego obszaru wymaga także skasowania wysuniętej daleko na północ i wschód enklawy niemieckiej, położonej między Polską i Litwą.

Zlikwidowanie enklawy wschodnio-pruskiej i połączenie Gdańska z jego polskim zapleczem, skróci dotychczasową granicę polsko-niemiecką z 2.033 km. do 1.303 km. Dla porównania godzi się wspomnieć, że granica francusko-niemiecka wynosi 350 km., z czego więcej niż połowa przypada na bieg Renu. Konieczne będzie również dalsze skrócenie granicy polsko-niemieckiej przez przesunięcie jej ku zachodowi, w sposób odpowiadający wymaganiom obrony.

Na południowym zachodzie potrzebne jest znaczne zmniejszenie klina niemieckiego, wrzynającego się między Polskę a Czechosłowację.

PRUSY WSCHODNIE

Prusy Wschodnie obejmują obszar 36.992 km. kw., t.j. 7,6% obszaru Rzeszy Niemieckiej. Ludność ich wynosi 2,333,000 osób, co stanowi 3.6% ludności Niemiec. Jest to kraj głównie rolniczy: 55,7% mieszkańców jest zatrudnionych w rolnictwie i leśnictwie, 19.2% w przemyśle i rzemiośle, 12.2% w handlu i komunikacji.

Aż do XVII-go wieku Prusy Wschodnie, wprost lub pośrednio, pozostawały pod wpływem politycznym Polski. W XIII-ym wieku właśnie Polska sprowadziła niemieckich Rycerzy Krzyża dla szerzenia chrześcijaństwa w tym kraju. Krzyżacy rychło wytępili ludność tubylczą; miejsce jej zajęli głównie osadnicy niemieccy. Po walkach wszczętych z Polską, w których Zakon Krzyżowy poniósł decydującą klęskę w r. 1410, część zachodnia kraju przypadła Polsce, zaś część wschodnia pozostała we władaniu Zakonu, jako księstwo lenne względem Polski. Zeświecczenie tego księstwa nastąpiło w r. 1525, przy czym kraj ten przypadł elektorowi brandenburskiemu, zwanemu *"Der Grosse Kurfuerst"*: złożył on w 1525 r. hołd królowi polskiemu. Prawa zwierzchnicze do tego kraju utraciła Polska po wojnach szwedzkich, na mocy pokoju w Oliwie w r. 1660. Aż do rozbiorów pozostała przy Polsce część Prus Wschodnich — Warmia.

Pod panowaniem niemieckim w różnych czasach stosowano różnorakie metody germanizacyjne. Zniemczyły one silnie Prusy Wschodnie. Jednakowoż aż do dnia dzisiejszego charakter ludności tego kraju nie jest czysto niemiecki. Większość ludności niemieckiej istnieje tylko w rejencji królewieckiej */Koenigsberg/*. W rejencji olsztyńskiej */Allenstein/* większość stanowi ludność polska; znaczne skupienia polskie znajdują się także w rejencji kwidzyńskiej */Marienwerder/*. W rejencji gąbińskiej */Gumbinnen/*, przytykającej do Litwy, istnieją znaczniejsze skupienia ludności litewskiej.

Niemcy mają w Prusach Wschodnich wpływ przeważający, nie tylko dzięki opanowaniu administracji publicznej, lecz także dzięki uprzywilejowanemu położeniu społecznemu. Wielka własność ziemska, o charakterze niemal feudalnym, znajduje się wyłącznie w rękach junkrów niemieckich. Ci właśnie junkrowie wschodniopruscy stanowili główną podstawę reżimu cesarskiego; oni w okresie republiki weimarskiej byli najsilniejszą zaporą demokratyzacji państwa; w Trzeciej Rzeszy, sprzymierzeni z ciężkim przemysłem i sztabem generalnym — stanowią rzeczywiste podłoże socjalne dyktatury hitlerowskiej.

Prusy Wschodnie, na skutek oddalenia od uprzemysłowionych ośrodków Rzeszy, oraz na skutek odcięcia od naturalnego zaplecza polskiego, wykazują wyraźne objawy zacofania gospodarczego. W ciągu stulecia 1840-1939 emigracja ludności z Prus Wschodnich do dzielnic środkowych i wschodnich Rzeszy wyniosła 1,100,000 osób. Ustawodawstwo niemieckie wysilało się na znalezienie sposobów wstrzymania tego odpływu. Jednakowoż ani wzrost płac, ani lepsze warunki mieszkaniowe, ani obfity strumień kredytów, ani ulgi podatkowe, ani nawet subwencje, wypłacane bezpośrednio rzemieślnikom i pracownikom wolnych zawodów, nie zdołały zmienić tego stanu rzeczy.

Nie pomogły także rozliczne zabiegi, zmierzające do umocnienia związku włościaństwa z ziemią. W okresie od 1925-1933, 55% przyrostu naturalnego ludności Prus Wschodnich ubyło przez emigrację. W 18-u powiatach /pośród 37/ ubytek ten był tak znaczny, że spowodował bezwzględny spadek liczby ludności. Rolnictwo wschodnio-pruskie, oparte głównie na wielkiej własności, korzystało, wobec braku miejscowej siły roboczej, z pracy robotników sezonowych przybywających z Polski. Obecnie opiera się na pracy niewolniczej, wywiezionych do Niemiec robotników polskich i czechosłowackich.

Rolnictwo to, nie jest rentowne. Utrzymywało się przy życiu dzięki stale płynącym olbrzymim subwencjom państwowym. Subwencje te, gospodarczo nieusprawiedliwione, dyktowane były względem politycznym — utrzymania przy władzy i przy wpływach, rządzącej kasty junkrów. Skandal wynikły w r. 1932 z nadużyć przy wykorzystywaniu tych subwencyj, t.zw. *Osthilfe*, przyczynił się do przyśpieszenia dojścia Hitlera do władzy.

Przemysł Prus Wschodnich jest wyraźnie regionalny — przeznaczony na zaspokajanie najpilniejszych potrzeb miejscowych — i ma w porównaniu z innymi dzielnicami Niemiec, charakter przemysłu drobnego. Rozmiar zakładów i ich produkcja są przeciętnie najniższe ze wszystkich dzielnic Rzeszy.

Odśrodkowe położenie Prus Wschodnich wobec reszty państwa niemieckiego, zwłaszcza wobec środkowych i zachodnich jego centrów przemysłowych, jest niejako organicznym kalectwem gospodarstwa wschodnio-pruskiego. Odległość od rynków */Marktferne/* była zagadnieniem, nad którym przez całe dziesięciolecia zastanawiali się ekonomiści niemieccy, jako nad naczelnym zagadnieniem istotnego zespolenia Prus Wschodnich z Rzeszą. I problemu tego nie rozwiązali, bo rozwiązać go nie można.

Odległość od granicy Prus Wschodnich do Warszawy wynosi 75 mil, do Berlina — 230 mil. Odległość od granicy Prus Wschodnich do Nadrenii wynosi z górą 500 mil, do uprzemysłowionego Okręgu Centralnego w Polsce — 190 mil. Teraz, w czasie wojny, Niemcy zarządzeniami swymi ponownie potwierdziły, że Prusy Wschodnie nie mogą się rozwijać bez ścisłego związania ich z zapleczem polskim. Część okupowanego obszaru polskiego, leżącą na północ od Wisły, przyłączono administracyjnie i gospodarczo do Prus Wschodnich. Po wojnie ten związek musi być w dalszym ciągu utrzymany, ale oczywiście już w postaci właściwej — przez przyłączenie Prus Wschodnich do Polski.

Pod względem strategicznym Prusy Wschodnie w ręku Niemiec są prawdziwym *place d'armes* i stanowią bazę wypadową ku wschodowi i południowi. W czasie pierwszej wojny światowej stąd właśnie skierowano w r. 1914 główny atak na Rosję. Tutaj u schyłku wojny światowej operowały niemieckie *"Freikorps"*. Tutaj Trzecia Rzesza skupiła w przeddzień drugiej wojny światowej swoje najsilniejsze armie. Stąd ruszyły dnia 1 września 1939 r. wojska niemieckie na Pomorze polskie i na Warszawę. Obezwładnienie wojskowe Niemiec nie byłoby pełne, gdyby Prusy Wschodnie pozostały we władaniu Rzeszy Niemieckiej.

GDAŃSK

Gdańsk obejmuje obszar 1893 km. kw., z ludnością, liczącą 400.000 osób. Aż do końca XVIII-go w. Gdańsk należał do Polski, jako wolne miasto portowe. Pierwotnie Gdańsk był zamieszkały przez ludność słowiańską, która już w r. 1308 została wymordowana przez Krzyżaków, po zdobyciu przez nich tego miasta. Było to jedno z największych, masowych morderstw niemieckich w historii wojen. Wymordowano 30.000 mężczyzn, kobiet i dzieci. Później Gdańsk był zamieszkały już głównie przez ludność niemiecką.

Jednakowoż port gdański, leżący u wylotu Wisły, był do tego stopnia związany z gospodarstwem polskim, że miasto Gdańsk, mimo swojej niemieckiej kultury, czuło się zawsze najściślej związane z Polską. Gdańsk opierał się wielokrotnie próbom osłabienia jego łączności z Polską, podejmowanym w różnych czasach ze strony niemieckiej. W czasie od r. 1397 do r. 1813 Gdańsk nie mniej niż siedmiokrotnie zbrojnie demonstrował swoją chęć utrzymania swojej łączności z Polską. Objaw ten był zupełnie naturalny. W łączności z Polską, Gdańsk był pierwszym portem wielkiego państwa polskiego. Oddzielony od Polski i przyłączony do Niemiec, Gdańsk stałby się portem ostatnim.

Tak też w istocie było w okresie od r. 1813 — 1919, gdy Gdańsk pozostawał w obrębie Niemiec. Port gdański był narażony na konkurencję portów wschodnio-niemieckich, Szczecina i Królewca, nie mówiąc już o tym, że wielkie szlaki morskie prowadziły do Niemiec przez Hamburg i Bremę. Przed pierwszą wojną światową obrót roczny ładunków w porcie gdańskim wynosił około 2.5 miliona ton rocznie.

Związanie gospodarcze Gdańska z Polską w r. 1919, spowodowało nagły przyrost obrotów ładunków w porcie gdańskim. Wzrosły one niemal trzykrotnie i wynosiły przed wybuchem wojny obecnej 6 milionów ton rocznie. Tendencja ta trwała, mimo zbudowania Gdyni, która również rozwijała się szybko i stała się rychło największym portem na Bałtyku. Obrót portu Gdyni wynosił w r. 1938 8,7 miliona ton. Rozwój gospodarczy Polski zapowiadał dalszy pomyślny rozwój obu portów. Obecnie, już w czasie krótkiego okresu okupacji niemieckiej, zaznaczył się bardzo znaczny upadek w obrotach Gdańska na korzyść Szczecina, komunikacyjnie dogodniej związanego z resztą Niemiec.

Utworzenie wolnego miasta Gdańska dało Polsce możność korzystania z portu gdańskiego, ale nie dało jej żadnego wpływu na życie samego Wolnego Miasta. Niemcy dbały o to, by mimo zmienionych form prawnych, pozostawało ono nadal miastem pruskim, służącym polityce odwetowej Niemiec. Niemcy powiększały swoje wpływy w tym mieście sztucznie, przez nowy, dziwaczny rodzaj kolonizacji. W krótkim czasie znalazło się w Gdańsku około 36.000 niemieckich emerytowanych urzędników wojskowych, co stanowiło przeszło 10% całej ludności miejskiej. Byli oni wypróbowaną podporą niemieckiej polityki rządowej.

W przede dniu wojny organizowano w Gdańsku kadry piątej kolumny, które potem odegrały znaczną rolę w działaniach wojennych przeciw Polsce. W tymże czasie, z pomocą senatu gdańskiego, zgromadzono w Gdańsku znaczne zapasy broni i zorganizowano silne oddziały wojskowe. Wreszcie przypomnieć należy, że pancernik niemiecki *"Schleswig-Holstein"*, który dnia 1 września 1939, rozpoczął działania wojenne przeciwko polskim bazom morskim na Helu i na Westerplatte, znalazł się w zatoce gdańskiej pod pozorem wizyty kurtuazyjnej, złożonej Wolnemu Miastu.

Po wojnie obecnej, Gdańsk, miasto portowe u ujścia Wisły, związane wszystkimi węzłami gospodarczymi z zapleczem polskim, musi odzyskać swój naturalny historyczny charakter portu polskiego — musi wejść w obręb Rzeczypospolitej.

ŚLĄSK OPOLSKI

Śląsk Opolski obejmuje obszar 9.715 km. kw., z ludnością liczącą 1.480.000 osób; 43% mieszkańców jest zatrudnionych w rolnictwie i leśnictwie, 34,7% w przemyśle i rzemiośle, 12% w handlu i komunikacji.

Aż do wieku XIV-ego Śląsk Opolski, obejmujący cały dzisiejszy ośrodek przemysłowy Bytomia */Beuthen/*, Gliwic */Gleiwitz/* i Zabrza */Hindenburg/*, należał do Polski. Później, jakkolwiek pozostawał wciąż pod panowaniem książąt z polskiej dynastii Piastów, przypadł Czechom. W w. XVI-ym ta część Śląska dostała się pod panowanie habsburskie drogą koligacyj małżeńskich, a w w. XVIII-ym została zdobyta przez Prusy.

Ludność Śląska jest w całości pochodzenia polskiego i zachowała w znacznej mierze swoją świadomość narodową. Jeszcze w połowie ubiegłego stulecia statystyki pruskie, sporządzane bardzo tendencyjnie, wykazywały w tej części Śląska 61% ludności polskiej. W r. 1910, a więc w 60 lat później, spis ludności wykazał 54,6% ludności polskiej. Dodać trzeba, że obie te cyfry, jakkolwiek stwierdzają istnienie w tej części Śląska większości polskiej, nie odzwierciedlają jej pełnego rozmiaru. Zostały bowiem świadomie umniejszone w taki sposób, że obok Polaków i Niemców statystyki pruskie wykazywały oddzielnie, nieistniejące w istocie dwie inne kategorie mieszkańców Śląska, mianowicie "Ślązaków", oraz t.zw. dwujęzycznych. Byli to oczywiście Polacy, którzy dzięki uzależnieniu od pracodawców i od administracji niemieckiej, ulegali naciskowi i nie podawali w wykazach swojej prawdziwej narodowości.

Przedziwny fakt zachowania się w pełni polskiego charakteru ludności śląskiej, mimo oddzielenia w ciągu sześciu wieków od Rzeczypospolitej, przypisać należy temu, że kraj ten nie należał do Rzeszy niemieckiej bezpośrednio, lecz do krajów korony habsburskiej. Monarchia habsburska nie uprawiała polityki germanizacyjnej, szczególnie w stosunku do kraju o tak podrzędnym znaczeniu, i tak podówczas ubogiego, jak Śląsk. Systematyczne niemczenie Śląska rozpoczęło się stosunkowo dość późno, bo dopiero w XIX-ym wieku, pod panowaniem pruskim.

Pod względem gospodarczym, Śląsk Opolski, dzięki swemu odśrodkowemu położeniu względem rynków niemieckich, wykazuje znaczne powinowactwo z bliższym o wiele rynkiem polskim. Bezpośrednio przed pierwszą wojną światową, w r. 1944, spośród 43,3 milionów ton węgla, wydobytego w Zagłębiu Śląskim, tylko 12,5 milionów ton znalazło zbyt na rynkach niemieckich, zaś 25 milionów ton sprzedano na obszarze ziem polskich, byłego zaboru rosyjskiego i austriackiego, które po r. 1918 weszły w skład państwa polskiego. W r. 1924 tylko 31% surówki żelaznej wytworzonej na Śląsku sprzedano w Niemczech. W r. 1929 cyfra ta spadła do 8,3%.

Śląsk Opolski zajmuje podobne miejsce w przemyśle ciężkim Niemiec, co Gdańsk w żegludze morskiej. Jest ośrodkiem drugorzędnym i upośledzonym, wobec silniejszych i lepiej położonych ośrodków przemysłowych w Westfalii i w Nadrenii. Podtrzymywano go sztucznie przez ulgi taryfowe, premie wywozowe, a ostatnio nawet przez subwencje bezpośrednie w ramach *"Osthilfe"*.

Pełny rozwój przemysłu Śląska Opolskiego możliwy jest tylko w zespoleniu z jego naturalnym polskim zapleczem gospodarczym. W obrębie gospodarstwa polskiego Śląsk Opolski będzie ośrodkiem przemysłu ciężkiego pierwszorzędnym, podobnie jak dopiero przy Polsce zdołał rozwinąć się Gdańsk.

Zainteresowane niemieckie sfery przemysłowe zdają sobie z tego sprawę całkiem dobrze. Jeszcze przed pierwszą wojną światową rzecznicy przemysłu śląskiego uskarżali się na drożyznę przywozu rudy żelaznej z odległych kopalń niemieckich i wskazywali na bliskość rud polskich. Pod koniec pierwszej wojny światowej domagali się powiązania gospodarczego Śląska z polskim rynkiem zbytu. Teraz wreszcie, w czasie okupacji niemieckiej, raz jeszcze potwierdzono konieczność gospodarczego związania Śląska z Polską. Całe zagłębie śląskie, zarówno Śląsk Opolski, jak województwo śląskie, oraz zagłębie węglowe sosnowieckie, połączono administracyjnie i gospodarczo z częścią województwa krakowskiego, tworząc jedną całość, z siedzibą zarządu administracyjnego w Katowicach. Po wojnie ten stan rzeczy powinien pozostać, a jego założeniem jest przyłączenie Śląska Opolskiego do Śląska w obrębie Polski.

Pod względem wojskowym, Śląsk Opolski stanowi część głębokiego klina, wbitego pomiędzy Polskę i Czechosłowację. Klin ten, silnie ufortyfikowany i mocno obsadzony wojskiem, już w czasie pokoju, przewidziany był jako baza operacyjna przeciw obu tym krajom. Stąd szły wojska niemieckie na Pragę w marcu 1939 r. Stąd, oraz z głębiej położonego Wrocławia, skierowany był atak na środkową i południową Polskę we wrześniu r. 1939. Usunięcie klina śląskiego jest niezbędnym warunkiem bezpieczeństwa Polski i Czechosłowacji i ono dopiero umożliwi powiązanie linii obronnych obu tych krajów. Z drugiej strony, odłączenie Śląska Opolskiego od Niemiec przyczyni się do zmniejszenia ich potencjału przemysłowego, przydatnego do przygotowań wojennych.

ADAM PRAGIER

W traktierni na via Archimede

Po oślizgłej szosie samochód z trudnością piął się pod stromą górę. Deszcz lał jak z cebra i zimna, przenikliwa mgła leżała nad całą okolicą. Słoneczna Italia w niegościnny sposób witała wojska polskie, przybywające do niej ze słonecznych oaz Egiptu.

Porucznik Surma siedzący z podniesionym kołnierzem koło kierowcy "łazika", klął zarówno pogodę, jak i cały ten kraj.

—Hallo, panie Korzeniak — zwrócił się do kierowcy "łazika" — czy ta psia pogoda długo tu już trzyma?

—W styczniu powiadali panie poruczniku, że w lutym to będzie tak ciepło jak u nas w maju — zaśmiał się kierowca — a tu już trzeci tydzień te wiatry jak dmą, tak dmą . . . Chodzić trudno i maszynę wprost przewraca, tak dmucha na tej przeklętej górze . . .

—Psiakrew, w Egipcie było lepiej . . . A nawet w Iraku, choć człowiek na upał urągał, ale jakoś można było wytrzymać, nie tak jak w tym musolińskim kraju . . . — zaklął porucznik. — A jak tam fasunek?

—Wiadomo — uśmiechnął się kierowca — *Beef* i *beef* i ciągle w kółko jedno i to samo . . . Pod tym względem z Egiptem nie ma różnicy . . . W mieście nic kupić nie można . . . Jak idę przez ulice to tak jak bym spacerował po Buzułuku albo Kujbyszewie . . . Połowa sklepów zamknięta, a te co otwarte to w nich też nic nie ma. Trochę fig i wino.

—Wino mówicie? — zainteresował się porucznik.

—Ho, wino to jest panie poruczniku . . . — odparł kierowca — Jakie chcieć, białe i czerwone i taniuśkie! . . . Dwa liry za szklankę . . . Upić się można za darmo na każdym rogu, cóż kiedy niczym nie ma przekąsić . . . Postawią dzbanek wina, talerz migdałków i to wszystko . . .

Porucznik zasłaniając się od zimnego wiatru, zapytał po chwili:

—A co to za światełka tam na górze?

—A to właśnie dojeżdżamy, panie poruczniku . . . — odparł kierowca. — Miasto leży jak orle gniazdo na górze . . . Wydmuch jak cholera . . . Trzy kościoły, dwadzieścia domów i magistrat, to wszystko . . . I na całe miasto jedna restauracja . . . — zaśmiał się.

—To nie wesoło?

—Ano, jak na wojnie . . . Kasyno już będzie zamknięte, to pan porucznik będzie musiał zajechać do tej traktierni, czyli restauracji . . . Do jedzenia to tam nic nie dostanie, oprócz migdałów, ale zawsze wino będzie . . . Porozmawiam jednak z Pietrem, czyli właścicielem tej traktierni, to może jakiś kawałek sera, albo zimnego mięsa dla pana porucznika wydostanie . . .

Wśród szalonych podmuchów wiatru, które zdawało się przewrócą mały samochód, wjechali w wąskie, kręte i ciemne uliczki górskiego miasteczka. Szofer kręcąc w prawo, to w lewo, orientował się widocznie dobrze w tym labiryncie ciemnych i ponurych zabudowań. Wreszcie wjechawszy w jakąś ciemną kiszkę, zatrzymał samochód.

—Via Archimede — Traktiernia Pietro Venturi . . . — rzekł szofer do porucznika, wysiadając z "łazika" — Skromny lokal, ale zawsze to lepsze jak nic . . .

Porucznik z trudem wylazł z samochodu i rozglądając się bezradnie w ciemnościach, zapytał:

—A gdzie tu jest w ogóle wejście do jakiegoś lokalu?

—Tędy w dół, panie poruczniku . . . — zawołał szofer — Parę schodków w dół i proszę się zginać, bo wejście niskie . . . Dom stary i schody śliskie . . .

—Szlag by trafił taki lokal . . . — zaklął pod nosem oficer i po omacku poszedł za kierowcą, który idąc pierwszy, odgrywał rolę *cycerona*. Weszli do słabo oświetlonej izby, w której w pierwszej chwili porucznik potrafił rozpoznać tylko kontury jakichś wielkich beczek. Obok nich, za stołem odgrodzonym od reszty izby barierką, siedziało jakieś marne indywiduum, pogrążone widocznie w błogim śnie. Korzeniak, który w tym wykwintnym lokalu był widocznie już stałym gościem, podszedł do śpiącego i klepiąc go poufale po ramieniu zawołał:

—*Signor Pietro*! *Una bottiglia di vino rosso, mandoli e formaggio per il signore tenente . . . Presto*! . . .

—*Si . . . Si . . .* — zawołał Włoch, przecierając zaspane oczy, a po chwili dodał: — *Formaggio, niente*!

—Powiada, że nie ma sera — rzekł Korzeniak zwracając się do oficera i wskazując niskie drzwi w brudnej i zakopconej ścianie, dodał: — Proszę dalej panie poruczniku . . . W drugiej izbie lepiej się siedzi i nie dmucha tam tak, jak tutaj. Tylko niech pan porucznik uważa, aby głowy nie rozbić o niski pułap . . .

Schylając się, weszli do następnej izby, równie słabo oświetlonej jak i pierwsza. Stało tam kilka stołów drewnianych, wokoło których poustawiane były koślawe, wyplatane krzesła. W jednym rogu, przed ciemnym oleodrukiem Madonny paliła się mała i kopcąca lampka olejna. Samo pomieszczenie jednak, pomimo nędznego wyglądu, robiło pewne wrażenie ze względu na swoją starą, gotycką strukturę, której pięknie wygięte łuki ginęły w ciemnościach źle oświetlonego sklepienia.

—Musi być stara budowla — zapytał porucznik kierowcę.

—1638-my rok, panie poruczniku . . . Stoi wykute nad wejściem do traktiernii — odparł Korzeniak. — Całe miasteczko stare jest jak grzyb, a domy to mają takie grube mury, że ich artylerią łatwo nie rozbije . . .

Signor Pietro przyniósł tymczasem dzban czerwonego wina i miskę potłuczonych migdałków. Porucznik zatarł zgrabiałe od zimna ręce i wychyliwszy dużą szklanicę, począł wybierać migdałki z pomiędzy fury nagromadzonych łupin, wyławiając je, niczym rodzynki z baby wielkanocnej. W międzyczasie rozpytywał kierowcę o nowiny i warunki życia na nowym miejscu postoju.

Powoli mocne wino zaczęło oddziaływać na obu pijących. Kierowca osunął się trochę na krześle i widocznie zdrzemnął się na chwilę, zmęczony całodzienną jazdą. Porucznik też w pewnej chwili podparł się ręką na stole i przysłoniwszy oczy dłonią, na pewien czas znieruchomiał. Przez chwilę pod gotyckim sklepieniem staroświeckiej traktiernii zapanowała cisza, przerywana tylko odgłosem zegara, który na wieży kościelnej wybijał gdzieś godzinę jedenastą. Słaby płomień świecy migotał niepewnie, to wydłużając, to skracając cienie obu siedzących za stołem. Płomień chwilami zdawało się dogasał zupełnie, to znowu wybuchał nagle jasnym światłem . . .

W pewnej chwili porucznik otrząsnął się nagle z sennego odrętwienia. Przeszedł go zimny dreszcz, spowodowany niską temperaturą, która stale panowała w traktierni. Zaczął rozcierać ręce. Płomień świecy zamigotał znów jaśniejszym światłem . . .

I w tej chwili oficer zauważył, że w izbie poza nim i kierowcą samochodu, pochrapującym smacznie na krześle, znajduje się jeszcze innych dwu — gości. Nie widział i nie słyszał jak weszli.

—Zdrzemnąłem się widocznie . . . zakonkludował porucznik i równocześnie stuknął w ramię chrapiącego szofera, który poderwał się tak gwałtownie, że mu aż czapka z głowy spadła na kamienną posadzkę. Podniósł ją i nakładając na zmierzwione włosy, spojrzał ze zdziwieniem na siedzących w ciemnym kącie traktierni dwu obcych wojskowych, których kontury zacierały się przy słabym płomieniu migającej świecy.

—Nie widziałem jak weszli . . . — mruknął sam do siebie, ale na tyle głośno, że oficer go dosłyszał i dodał:

—Ja również nie zauważyłem ich przybycia . . . Widocznie zdrzemnęliśmy się obydwaj na chwilę, pod wpływem wypitego wina — zaśmiał się.

Zaczęli się przyglądać nowoprzybyłym, którzy również, ćmiąc spokojnie długie fajki, przyglądali im się uparcie. Porucznik z zaciekawieniem rozpatrywał różne szczegóły mundurowe, wnioskując z nich, że ma przed sobą jakieś obce wojsko.

—To nie Angliki ani Włochy . . . — zauważył po chwili szofer — Kamasze mają jak Amerykany, tylko białe . . . Ale znowu płaszcze szare i kuse jak u Francuzów, tylko, że tamci takich pelerynek nie mają . . . A i furażerki takie wysokie i granatowe, jakich u żadnego wojska tutaj, ani na Bliskim Wschodzie, nie widziałem . . . Stare chłopy, bo wąsiska mają okazałe i takie jakieś dziwne fajki kopcą.

—Tak, rzeczywiście . . . — poparł go porucznik — Takiego munduru jeszcze nie widziałem . . . Jeden to podoficer, bo widać, że ma galony na rękawie, ale nie tak jak u Anglików, a raczej na francuski sposób . . .

Zamyślili się obaj na chwilę. Do izby weszła nowa postać. Z wyglądu od razu można było poznać, że to jakiś usługujący w traktiernii, ale i on ubrany był w inny sposób niżeli przeciętny Włoch. Na nogach miał jakieś ciemne, krótkie spodenki i długie białe pończochy, pantofle z dużymi klamrami. Na białej koszuli nosił czerwoną kamizelkę z dużymi mosiężnymi guzami, a spod czerwonej czapki na głowie wisiał z tyłu nieduży warkoczyk, przewiązany również czerwoną wstążeczką. Podszedł do obu wojskowych i postawił przed nimi dwa duże naczynia blaszane, z jakimś trunkiem.

—Panie poruczniku — odezwał się znowu szofer — Czy to nie będą jakieś komandosy. Oni takie różne mundury noszą?

—Za starzy na komandosów . . . — zawyrokował oficer — Ale najprostsze to jest ich zapytać — dodał i obracając się do siedzących w kącie odezwał się po angielsku: — *Good evening, George — What army are you*?

Jeden z wiarusów podkręcił sumiastego wąsa i po chwili odparł:

—Półbrygada jenerała Kniaziewicza . . . A wy co za jedni?

Porucznikowi ze zdziwienia, gdy usłyszał mowę polską, aż dech w gardle zaparło, ale Korzeniak zareagował natychmiast i to całkiem odmiennie:

—A co? Nie mówiłem panu porucznikowi, że to nasz komandos? To ich tak dla niepoznania nazywają półbrygadą . . . Tylko tego nowego generała to nie znam. Pewno jakiś z Anglii nowoprzysłany . . .

—Kniaziewicz? . . . — porucznik przesunął ręką po czole, jakby go nagle głowa zabolała — Kniaziewicz? . . . Skądżeż ja znam to nazwisko? . . . — mruczał pod nosem.

—A co wy tu robicie? — pytał zaciekawiony szofer.

Obydwaj wojskowi uśmiechnęli się tajemniczo do siebie, a potem ten z naszywkami na ramieniu odparł, wyjmując fajkę z ust:

—Leżymy tutaj niedaleko, przy drodze . . . Cicho i spokojnie . . . Od czasu do czasu człowiek wychodzi popatrzeć, co też tam się dzieje na Bożym świecie . . .

—O, to jak widzę ostro was tu trzymają . . . A coście dotąd robili?

—Ano, łaziło się po górach i tropiło tych ichnich brygantów . . .

—Brygantów? — Aha, to wy tu tak spadochroniarzy i dywersantów nazywacie . . . A dużoście ich nabili? — pytał dalej ciekawie szofer.

—Pewno, że ich się dosyć nabiło, ale i naszych też sporo zginęło.

—To od nich takeście oberwali? — ciągnął Korzeniak pokazując na wielką i siną bliznę, ciągnącą się w poprzek twarzy mówiącego.

—Nie, toto oberwałem od Moskali nad Trebią . . . — uśmiechnął się zagadnięty.

—Od Moskali? Ja też z nimi się biłem, jak przekraczali granicę we wrześniu pod Husiatynem . . . W "Kopie" służyłem . . . Wzięli mnie do niewoli i pełne dwa lata po łagrach się tułałem. A gdzie ta Trebia?

—To daleko na północy . . . — mruknął drugi wojskowy. — A wy co? Idziecie bić Niemców, czy tu zostajecie na kwaterach?

—Będzie tak, jak każą, ale wiadomo, że wszystko się rwie do bitki, bo dość już tego czekania i ciągłego organizowania się . . . —mówił z zapałem Korzeniak — A wy co? Też z nami pójdziecie, albo nawet prędzej?

—Tak — odparł stanowczo i twardo starszy wojskowy — pójdziemy razem z wami . . . Czas na nas, by się wreszcie stąd ruszyć . . . Zbyt długo tu już leżymy . . .

W drugiej izbie dały się słyszeć energiczne kroki i nagle na progu ukazała się wysoka postać zakutana w szeroki płaszcz wojskowy z peleryną, spod którego widać było czarne, długie buty. Na głowie nowo przybyły miał takąż granatową wysoką furażerkę, z tą różnicą że była ona obszyta srebrnym galonem. Że był wysokiego wzrostu, przy wejściu do izby musiał się mocno nachylić, a teraz ostrym, świdrującym wzrokiem rozglądał się wokoło. Obaj obcy wojskowi spojrzeli na niego i starszy, szturkając gwałtownie swojego kolegę łokciem w bok, zawołał ze zdumieniem:

—Pietrek, wstawaj . . . Szef Liberacki przyszedł! — i obaj wyprostowali się jak struna, przykładając starym polskim zwyczajem dwa palce do czapek.

Nowoprzybyły popatrzył na nich krytycznie, wreszcie uśmiechnął się lekko i oddając im ukłon wojskowy, rzucił krótko:

—Zbiórka na apel . . . — i odwróciwszy się na pięcie ruszył do wyjścia.

—Rozkaz panie szefie . . . — jak jeden odparli obaj wojskowi i podobni do manekinów ruszyli za swoim przełożonym. Ten u wejścia zatrzymał się chwilę, aby ich przepuścić przed sobą, a gdy zniknęli w ciemnych drzwiach, obrócił się do porucznika i kierowcy, siedzących bez słowa za stołem i rzekł do nich w sposób rozkazujący:

—A na was też już czas! . . .

W izbie zapanowała cisza . . . W kącie przed obrazkiem Madonny, dogorywała lampka olejna, świeca na stole dopalała się również swoim ostatnim, słabym płomieniem. Po chwili oficer odezwał się do kierowcy:

—Czy mi się zdawało, czy było tu przecież jakichś dwu wojskowych? . . .

—A i mnie się zdawało, panie poruczniku . . . Tylko że teraz to naprawdę nie wiem, czy mi się śniło, czy też naprawdę z nimi rozmawiałem. Jakieś to wszystko dziwne . . . Brr! — otrząsnął się — Chodźmy, panie poruczniku, bo zimno tu jest . . . W namiocie cieplej . . .

Ruszyli ku wyjściu. Jakby w półśnie porucznik mruczał do siebie: — Kniaziewicz . . . Trebia . . . Liberacki?

Po wyjściu bił się jeszcze chwilę z myślami, aż nagle, chwytając szofera za ramię, zawołał z drżeniem w głosie:

—Czy wiesz Korzeniak, z kimeśmy tam rozmawiali na dole? . . . To były zjawy dawnych legionistów sprzed stupięćdziesięciu lat . . . .

Szofer popatrzył na niego z niedowierzaniem, a następnie biorąc go pod rękę rzekł uspakajająco:

—Jakie tam zjawy, panie poruczniku . . . Ot po prostu zdrzemnęliśmy się przy tym mocnym winie ze zmęczenia i coś nam się przyśniło . . . Bo ja teraz naprawdę nie potrafię powiedzieć czy był tam ktoś — czy nie . . . Może był, a może i nie był . . . Zdaje się, żem se trochę podpił . . . — dodał z bezmyślnym uśmiechem.

—Durny jesteś Korzeniak . . . — żachnął się porucznik, ale sam w duszy nie mógł się na to zdecydować czy i on czasem nie nadużył trochę alkoholu . . .

Całe przedpołudnie następnego dnia porucznik Surma bił się z myślami, nie mogąc rozwiązać zagadki nocnej swojej przygody. Czasami zdawało mu się rzeczywiście, iż śnił, innym razem odrzucał tę możliwość z oburzeniem.

Na przechadzce odbytej po mieście stwierdził, że na Via Archimede istnieje rzeczywiście traktiernia Pietra Venturi, co go znacznie uspokoiło na umyśle, ale równocześnie podnieciło jeszcze bardziej jego wyobraźnię. Wstąpiwszy na lampkę wina, spotkał tam miejscowego proboszcza, z kościoła pod wezwaniem Św. Antoniego, który umiejąc nieźle po francusku wdał się z nim w obszerną rozmowę.

—To już nie po raz pierwszy jesteście wy Polacy na ziemi włoskiej — mówił ksiądz — W moim kościele wiszą dwa wota, które pozostawili żołnierze polscy, wojujący w tych stronach stopięćdziesiąt lat temu . . . Paru ich leży na naszym starym cmentarzu, przy szosie . . . Stare, zapuszczone mogiły — nikt o nie dotąd nie dbał . . .

Poszli razem z księdzem do kościoła, gdzie tenże, zdjąwszy ze starej, drewnianej figury świętego Antoniego dwa serca, jedno złote, a drugie srebrne, wręczył je porucznikowi, mówiąc:

—Jest tam z tyłu coś wyryte, ale po polsku widocznie, gdyż nikt z nas tego nie rozumie . . .

Surma z poczuciem głębokiego wzruszenia wziął do ręki wręczone mu pamiątki dawnych lat i na srebrnym sercu odcyfrował wyryte z tyłu słowa: "Za ocalenie pod Trebią — kapral Piotr Zawada."

Stanęła mu przed oczyma jak żywa postać starego weterana, tak, jak ją widział tej nocy, z siną szramą na bladej twarzy i przyłożywszy przez chwilę srebrne serce do piersi, zmówił krótką modlitwę, po czym oddał wotum księdzu, aby je z powrotem zawiesił.

Na małym cmentarzyku, w jednym z rogów, zarośniętych dzikim winem, ksiądz pokazał mu dwie obok siebie leżące, stare mogiły, przykryte szczerniałym piaskowcem. Na jednej napis był zupełnie już zwietrzały, na drugiej zaś z pewną trudnością potrafił odczytać:

D.O.M.
Zabity w walce z brygantami
kapral PIOTR ZAWADA
polska półbrygada
1798 *r.*

U porucznika Surmy, stojącego nad tymi dwiema dawno zapomnianymi mogiłami, nastąpiło chwilowe rozdwojenie jaźni . . .

Dziwnym zrządzeniem Opatrzności dane mu było widzieć tej nocy cienie dawnych legionistów, zwoływane do ponownego apelu przez szefa batalionu, majora Liberackiego . . . Wiedział, iż stoi teraz nad mogiłą dawnych żołnierzy polskich, co tu przed stupięćdziesięciu laty krew swoją z tych samych powodów przelewali . . . a równocześnie zdawało mu się, iż widzi ich szeregi posuwające się powoli w kierunku północnym i łączące się z szeregami jego kolegów, którzy już tam gdzieś na północy, w górach Apenińskich, walczyli we wspólnym dążeniu do wolności.

—Z ziemi włoskiej do Polski . . . — rzekł głośno, a potem dodał pocichu:

—Tak . . . Po raz drugi! . . . i zasalutował samotnym mogiłom, których cienie towarzyszyć mu miały nadal w odległej jeszcze i ciężkiej drodze do Kraju . . .

Włochy, w lutym 1944.

JERZY GROBICKI

rys. STEFAN OSIECKI

rys. KRYSTYNA KOPCZYŃSKA-SADOWSKA

TOAST

rys. JANINA KONARSKA

Ostatnie skały Portland Bill rozpłynęły się, wchłonięte przez niskie, poszarpane chmury, ograniczające horyzont do kilkuset yardów. “Blenheim” wchodził pod niebo niczyje, opuszczał bezpieczne niebo Anglii, by pod zasłoną niskich chmur przekroczyć pilnie strzeżone niebo Kanału, przeciąć lotem koszącym półwysep Bretanii i od południowego wschodu wyjść nad bazę okrętów podwodnych w Lorient. Pogoda była okropna. Niskie, grożące oblodzeniem chmury zalegały Kanał i całą Bretanię. Nawet ptaki nie opuszczały swych gniazd. Ale właśnie tylko ten rodzaj pogody czynił wyprawę możliwą i zapewniał jej jakie takie szanse powodzenia. W pogodne dnie niebo Francji należało do wroga. Patrole dalekosiężnych “Junkersów 88” wyśledziłyby samotnego “Blenheima” a myśliwskie formacje Me. spotkałyby go na wiele mil przed celem.

Były to czasy, gdy walka o Atlantyk wrzała w całej pełni i conocne wyprawy bombowców atakowały rozsiane po francuskich portach bazy okrętów podwodnych. Aby mogła pójść wyprawa, konieczne były fotografie. Aby uzyskać bezcenne fotografie, samotne maszyny foto-wywiadu zapuszczały się do najdalszych portów, rozpoznawały tysiące małych, zakazanych *creek'ów*, zatok, ujść rzek, rybackich portów, doków i stoczni od spowitego w wieczne mrozy i mgły Trondhjem, aż do białego, skąpanego w wieczystej wiośnie Italii — Brindisi. Codziennie startowały “Blenheim'y” na swe dalekie wyprawy — walka o Atlantyk nie mogła być poniechana ani na jeden dzień — powracały przywożąc bezcenne zdjęcia, lub tylko przestrzeliny w kadłubie i skrzydłach, świadczące o czujności wroga. Czasem samoloty nie powracały i na wielkich tablicach w *Operations Room'ie*, w rubryce: czas powrotu wpisywano słowo: *overdue*. Po kilku godzinach, gdy samolot nie przylatywał, ani żadna wieść od niego nie przychodziła, ścierano słowo: *overdue*, zastępując je innym: *missing*. Na drugi dzień, na tym miejscu figurowała już inna załoga, inny samolot. Walka o Atlantyk nie mogła być poniechana ani na jeden dzień.

Siedzący w szklanej kabinie nawigatora Roland, na próżno nakazywał sobie spokój, na próżno przepowiadał sobie, że od jego spokoju, opanowania i zimnej krwi zależeć może powodzenie misji. Na próżno brał do ręki suwak nawigacyjny, chcąc zatopić w obliczeniach swój gniew, chcąc ochłodzić rozpalony sprzeczką mózg przez obcowanie ze światem zimnych, beznamiętnych cyfr. Rozgorączkowana pamięć podsuwała mu momenty niedawnego sporu i podsuwała mu argumenty, których nie użył, a które na pewno przekonałyby jego przeciwników, że jednak racja była po jego stronie. Nabyta w ciągu ostatnich miesięcy rutyna zwracała się przeciwko niemu, liczne czynności związane z nawigacją załatwiał prawie podświadomie, całą duszą pogrążając się w rozpamiętywanie niedawnego sporu z kolegami we *Flight'cie*.

Przyczyna sporu była bardzo, bardzo dawna. Roland wiedział, że istnieje niezmożona, wszechwładna siła, kierująca ludzkimi czynami, nieraz wbrew ich woli, wbrew ich oczywistemu interesowi. Tą siłą jest atawizm. Roland wiedział, że czyny i myśli jego pradziada, dziada i ojca są nieraz silniejsze od jego własnych doświadczeń, od jego własnych spostrzeżeń i wniosków. I wiedział, że częściej, niż by się to ludziom zdawało, pobudką ich czynów są czyny i myśli dawno nieżyjących już przodków. Że słowa, które wypowiada, są słowami, które wypowiadałby jego pradziad, dziad, lub ojciec, i że wypowiedzenie tych słów ma tak mało wspólnego z wolą i myślami, jego, Rolanda.

Przecież nawet jego imię, niezwykłe jak na Polaka, było dalekim echem czynów, myśli i pragnień jego przodków. Gdyby pradziad nie zaawanturował się z Wielkim Cesarzem aż na samotną wyspę św. Heleny, gdyby dziad nie walczył w szeregach Paryskiej Komuny, gdyby ojciec nie rzucił ukochanej chemii dla błękitnego munduru Bajończyków, on, Roland nie nosiłby dziwacznego, obcego imienia, nie wychowałby się w uwielbieniu dla dalekiej, nieznanej, “drugiej ojczyzny,” Francji. Ale że pradziad, dziad i ojciec służyli pod sztandarem Wolności, sztandar mógł być cesarski, komunistyczny czy republikański, dla nich był zawsze tylko sztandarem Wolności, przeto atmosfera małego, podolskiego dworku była owiana duchem dalekiej, niewidzianej, mitycznej prawie Francji. I dlatego właśnie prawnuk żołnierza Wielkiego Cesarza, wnuk obrońcy Paryża, syn Bajończyka nosił cudzoziemskie imię Rolanda. I dlatego właśnie był wychowany w głębokiej wierze w dziejową misję Francji, orędowniczki Wolności.

Wpływ wychowania, niezmożona siła idącego przez pokolenia atawizmu, sprawiły, że gdy Roland w zimny, listopadowy dzień przybył po raz pierwszy do ubóstwianej Francji, z oczyma jeszcze czerwonymi od dymów płonącej Warszawy, z uszami pełnymi pamięci ostatnich pocisków i bomb — nie mógł i nie chciał widzieć i uznawać rzeczywistości. Na Francję z okresu zimy 1940 roku, z okresu *drôle de guerre*, patrzał przez tak silny pryzmat zachwytu, że nie widział rzeczywistości. Przebudzenie było bolesne, ale nie zachwiało wiary Rolanda we Francję, orędowniczkę Wolności. Wypadki czerwcowych dni rzuciły go, wraz z całą falą jego rodaków do Anglii.

Gnany zamiecią dziejowych zdarzeń, ocknął się któregoś dnia w messie angielskiego *Squadronu* lotniczego. Tam i pozostał. Nic tak nie wiąże ludzi, jak służba w jednym *Squadronie*, przebywanie we wspólnej messie, mieszkanie we wspólnych barakach. Roland przystał i wrósł w otoczenie. Klęski, jaka spotkała Francję, nie rozumiał, nie zdawał sobie wprost sprawy z jej ogromu. Czekał. Wykonywał swe loty, jeździł na *day off* do pobliskiego Oxford'u, flirtował z przebywającymi na Stacji WAAF'kami, brał udział w *party* i dancingach — i podświadomie czekał. Czekał — sam nie umiałby może wyjaśnić dokładnie na co. Może na wieść z Francji, której nie zdążył poznać, a w której klęskę nie chciał i nie mógł uwierzyć. Może na człowieka, który potrafiłby mu wyjaśnić cały sens i istotę tych niewiarygodnych wypadków, które oglądał własnymi oczyma w pamiętnym czerwcu 1940 r. na długim, krwawym szlaku od Lille po Bordeaux. Czekał. Ze swymi angielskimi kolegami zaprzyjaźnił się na śmierć i życie, tak, jak tylko w *Squadronie* mogą się zaprzyjaźnić ludzie, co codziennie patrzą śmierci w twarz i cieszą się każdym dniem, wiedząc, że cieszyć się tym dniem należy, gdyż może to być równie dobrze początek szeregu jasnych, wesołych dni, może to być także ostatni ich dzień na ziemi, ostatni dzień przed wkroczeniem w progi nieznanej, tajemniczej wieczności.

Dopiero dziś, przed samym prawie lotem, już ubierając się w swą lotniczą kurtkę, pokłócił się ostro z angielskimi przyjaciółmi. W kancelarii *Flight'u*, która służyła im również za *crew-room*, posiadali radio-odbiornik. Właśnie BBC nadowało “francuski kwadrans” i na zakończenie zabrzmiały dźwięki Marsylianki. Roland był lekko podniecony. Trudno być zupełnie spokojnym przed lotem nad Lorient. Wiele załóg nie powróciło z nad Lorient i port miał złą sławę wśród lotników z foto-wywiadu. Roland słuchał tych cudnych, jedynych na świecie dźwięków. Zatonął w zasłuchaniu. Tak musieli słuchać tych samych dźwięków cudnej, bojowej pieśni ludzi wolnych, pradziad, dziad i ojciec Rolanda. Teraz słuchał jej Roland, słuchał jej na kilka chwil przed swą samotną wyprawą w kraj nagłego ognia, szybko wybuchających pożarów, wartko płynącej krwi. Podświadomie podchwycił słowa, zaczął nucić:

. . . *amour sacré de la Patrie* . . .

Z zachwytu, z zaczarowanego kręgu potężnej pieśni, wyrwały go ironiczne słowa Billa: — “I co się tak zachwycasz tą piosenką żabojadów?” Roland nie zupełnie jeszcze rozumiał, dopiero uwaga John'a wyraźnie wbiła mu się w świadomość: — “Czyż nie szkoda, by taki cudny hymn należał do takich szmaciarzy?”

Roland wybuchnął, w gwałtownych słowach powiedział swym angielskim kolegom, co myśli o ich postępowaniu, o bezczelnym naigrawaniu się z wielkiego, chwilowo nieszczęśliwego narodu. Wywiązałaby się gwałtowna dyskusja, gdyby Jim nie zwrócił Rolandowi uwagi, że już czas startować. Roland wyszedł, wychodząc trzasnął mocno drzwiami *hut'u*, nie dość mocno, by przygłuszyć wesołą, żartobliwą uwagę Bill'a: — “Po powrocie wskażesz nam i przekonasz nas o wielkości współczesnej Francji. Jeśli Ci się nie uda, stawiasz kolejkę.”

Zamazana linia horyzontu zaczęła tężeć, ciemnieć, wiążąc się w stożkowaty kształt. Roland spojrzał na zegarek, na szybkościomierz, na mapę. Tak. W porządku, to jedna z niezliczonych wysepek, rozrzuconych na północ od Dinard. Za kilka minut przetnie brzegi Bretanii. W tej pogodzie, z pułapem niskich chmur na wysokości 700 stóp, mógł ich samotny “Blenheim” pozwolić sobie na przekroczenie brzegu w każdym dowolnie wybranym punkcie. Szybkie, myśliwskie maszyny wroga na pewno nie ryzykowały lotów w tak obrzydliwej mgle.

Po lewej stronie zaczerwieniły się śpiczaste dachy wyrastających jakby prosto z morza, wysokich, ciasno zbitych domów. Historyczne gniazdo korsarzy: St. Malo. Po prawej stronie zabieliły się gmachy nowoczesnych hoteli-olbrzymów: Dinard. Samotny “Blenheim” niósł się na paręset stóp nad zielonymi polami północnej Bretanii. Niskie chmury włóczyły się pod szarym, ołowianym, nawisłym nisko sklepieniem deszczowych cumulusów. Niektóre czepiały się wyrastających w zachodniej części kraju, leśnych pagórków. Pole widzenia ograniczało się do paru mil. Gdzieniegdzie pracujący po polach chłopi podnosili na dźwięk lecącego nisko samolotu, schylone w pracy głowy i grozili przelatującemu samolotowi trzymanymi w ręku widłami, grabiami lub łopatami. Roland nie wiedział, czy grożą mu dlatego, że go biorą za Niemca, czy grożą mu, rozpoznawszy na samolocie doskonale widoczne, kolorowe koła Królewskiego Lotnictwa.

O pewnej godzinie zmienili kurs ku zachodowi. Teren stawał się coraz to bardziej lesisty i pomimo, że już znacznie zeszli na południe, niebo *douce France* nie stało się ani o jeden ton jaśniejsze, nie utraciło nic ze swej ponurej, ołowianej grozy nawisłych nisko chmur. Roland raz jeszcze zmienił kurs, tym razem na północno-zachodni. Zbliżali się do Lorient.

Już z dala widać było ścielące się nisko dymy, szaro-zielone dachy domów, przetykane gdzieniegdzie wesołą czerwienią murów i srebrne niteczki zbiegających się ku jednemu miejscu torów. Lecąc na małej wysokości nie sposób było uchwycić za jednym nalotem cały obszar portu. Lecieli tak nisko, że Roland mógł odczytywać napisy na poszczególnych budynkach, rozróżniać flagi na okrętach, widzieć białe plamy twarzy zadartych w górę głów.

Przelecieli nad północnym molo, odchodząc w morze. Ani jeden strzał nie padł w kierunku samotnego samolotu. Zaskoczenie było zupełne. Szerokim łukiem zakręcili ku południowi. Raz jeszcze przecięli linie wybrzeża o kilkanaście mil poniżej portu. Skręcili ku zachodowi, tym razem kierując się ku południowej części portu. W *inter-comm* zaszemrał głos Willy'ego: — “Jeżeli myślisz, że i tym razem ich zaskoczysz, to mogę się założyć o trzy *double*, że jesteś w grubym błędzie.”

Roland pochylił się nad celownikiem foto: — “W lewo, jeszcze jeszcze, wzdłuż tego białego pasa, tak trzymaj, *steady, steady, camera on!*”

Zamigotały światełka kontrolne aparatów: zielone, czerwone, zielone, czerwone. W dole przesuwała się południowa, ta właściwa, najważniejsza, część portu. “Blenheim” leciał na wysokości 700 stóp nad samym sercem bazy okrętów podwodnych w Lorient. Roland patrzył w celownik foto i nie wierzył we własne szczęście. Przecież jeszcze chyba nikt nie fotografował Lorient z wysokości 700 stóp. Nawet reklamę DU BO DU BON DU BONNET będą sobie mogli odsylabizować w *Interpretation Office'ie*.

Idący równo, ściśle po nakazanym kierunku “Blenheim” zachybotał od gwałtownych podmuchów rozrywających się tuż nad nim pocisków. Ołowiane niebo pokryło się setką czarnych chmurek-wybuchów. Stalowy kadłub rozdzwonił się od szybkich uderzeń pocisków ciężkiej broni maszynowej. Samolot został spowity, ogarnięty wprost ogniem całej artylerii przeciw-lotniczej portu. Ze wszystkich stanowisk ziemnych, ze wszystkich okrętów i kutrów szły w kierunku samotnej maszyny złociste iskry i szare niteczki pocisków zapalających i smugowych.

Willy, wciąż na *emergency boost'cie*, gwałtownie oddał stery. “Blenheim” w ostrej pice zbliżał się do powierzchni zielono-szarych fal. Na wysokości około 50 stóp, Willy wyprowadził maszynę. Szli teraz prawie środkiem zewnętrznej redy avant-portu, na wysokości kilkunastu stóp, w gwałtownych pół-zwrotach, górkach i przechyłach unikowej akcji. Roland wyłączył camery i usiadł obok pilota. Wśród gwałtownych rzutów maszyny, zapomniał prawie o artylerii i karabinach maszynowych. Jedyne, co go teraz najbardziej obchodziło, było to, czy Willy w zapale stosowania gwałtownej *evasive action* nie zaczepi o jakąś falę. Lecieli tuż nad wodą.

“Blenheim” wyszedł z zasięgu karabinów maszynowych. Wszystko to trwało znacznie krócej, niż 50 sekund. Jeszcze artyleria znaczyła ślad uchodzącego “Blenheima” rozkwitającymi na tle zielonych fal, białymi pianami wybuchających pocisków, ale to nie było ani w tysięcznej części tak groźne jak ogień karabinów maszynowych. Zamiast powtórzyć usłyszany kurs, zwrócił na Rolanda pytające oczy: — “A ja?” Prawda, Roland zapomniał, że Willy'emu też należy się rozrywka po wykonaniu zadania. Podał więc kurs północny. Wprost na niewielką wysepkę Ile de Roi, ulubione miejsce zabaw Willy'ego.

Lecieli na wysokości kilkunastu stóp, tuż nad falami. Willy uprzedził strzelca samolotowego, by naszykowal swą flintę, za chwilę zapoluje na króliki. Roland przeszedł do swej kabiny do zdwojonych browning'ów, strzelających do tyłu, pod kadłub. Willy przesunął “*safe*” na “*fire*.”

Na wysokości kilkunastu stóp przeskoczyli linię wybrzeża. Mieli szczęśliwy dzień. Króliki musztrowały się właśnie na obszernej, nadmorskiej łące. Pierwsze strzały Willy'go rozproszyły maszerującą kolumnę. Żołnierze padli na ziemię, przylegając do niej tak szczelnie, że mogło się zdawać, iż wprost wgryzają się w trawę. Na kilka stóp nad ziemią Willy poderwał “Blenheima.” Teraz przyszła kolej na Rolanda i strzelca. Kadłub samolotu napełnił się ostrym, gryzącym gazem sączącym się z pracujących pośpiesznie browningów. Ponieważ już pierwsze strzały Willy'ego położyły żołnierzy niemieckich na ziemię, Roland nie mógł być zupełnie pewny rezultatów swego polowania. Widział tylko szare niteczki pocisków smugowych, szyjących po rozproszonych po polu grupkach żołnierzy i wypryski piasku, ile razy pociski jego przenosiły i szyły po przyległej do łączki piasczystej diunie.

Zabawa trwała bardzo krótko, zaledwie kilkadziesiąt sekund. Niewielka odległość dzieląca łączkę od lotniska myśliwców, nakazywała nie bawić się zbyt długo w polowanie, by samemu nie stać się łupem groźniejszego myśliwca. Cóż bowiem miał za szanse w spotkaniu u brzegów Francji samotny, słabo uzbrojony, niezbyt szybki “Blenheim” z patrolem Me.?

“Blenheim” niósł się swym powrotnym szlakiem. Nad nimi rozciągała się nieprzenikniona zasłona nawisłych nisko chmur, pod nimi zieleniły się spokojne fale Atlantyku, kołysane szerokim oddechem łagodnego, południowego wiatru, wiejącego ku mglistej wyspie z nad dalekich, słonecznych pól *douce France*.

Roland przygotowywał raport fotograficznego rozpoznania, zapominając na śmierć o czekającym nań Bill'u i o zakładzie o kolejkę *double'ów*, że prawowici właściciele portu Lorient i Ile de Roi nie są szmaciarzami.

Zakład nie został rozstrzygnięty, sprawa jego nie była nawet poruszana. Utonęła w nawale wypadków. Wypadków, może nie historycznych, jeśli brać na europejską skalę, lecz pamiętnych długo w historii foto-wywiadowczego *Squadronu*. “Bismarck” opuścił fiordy Norwegii, w starciu z brytyjską *Navy* zatopił pancernik “Hood” i szedł ku południowi, ku atlantyckim portom Francji. *Squadron* został poderwany do pracy. Długie, jakżeż niemiłosiernie długie godziny lotów nad pustaciami Atlantyku, krótkie odpoczynki w czasie nabierania paliwa i znów starty w ciężką, niesprzyjającą lotom pogodę, znów długie, niemiłosiernie długie godziny omiatania zmęczonymi od ustawicznego wypatrywania oczyma niezmierzonych przestrzeni Oceanu.

Była to właśnie pora obiadowa, godzina 12-ta, 26 maja 1941 roku, gdy Roland wszedł to messy. Z głośnika rozległ się znany głos Nieustraszonego Premiera, obwieszczający radosną nowinę o zatopieniu “Bismarcka.” Messa zabrzmiała od radosnych okrzyków. Na wieczór projektowano wielkie *party* na cześć niezwyciężonej *Navy*.

Sprawa zakładu odżyła, niespodziewanie, podczas *party*. Właśnie Roland odprowadzał po tańcu miss Betty do czekającego na nią niecierpliwie Charles'a, gdy Bill zastąpił mu drogę: — “Pozwól, chcę Cię przedstawić panu i pani Vernon, to wielcy przyjaciele moich rodziców, musisz ich koniecznie poznać”. Już po dziesięciu minutach rozmowy, Roland zrozumiał, dlaczego “musiał koniecznie poznać” pp. Vernon.

Państwo Vernon spędzili wiele, bardzo wiele lat we Francji. Ponieważ Bill przedstawiając Rolanda nie omieszkał żartobliwie oznajmić: — “Niezatwierdzony ambasador Francji na terenie naszej Stacji, mówi po francusku, jak sam Clemenceau,” więc rozmowa od razu potoczyła się po francusku i o Francji. Roland słuchał wartkich, gładkich słów układających się w okrągłe, doskonałe stylistycznie zdania. Początkowo sprawiało mu rozkosz słuchanie tej najcudniejszej mowy świata.

Gdy już do syta nacieszył się niesłyszaną dawno mową, zaczął słuchać samej treści wygłaszanych przez pana Vernon zdań. Treść była niesłychanie daleka od formy. Napełniała duszę Rolanda zimną, nieopanowaną grozą, lękiem, rozpaczą. Pan Vernon znał doskonale Francję. Mówił beznamiętnie, bez urazy i gniewu, raczej jakby powodowany żalem za rzeczami dawno już umarłymi, bez ratunku i nieodwołalnie pogrzebanymi przez ekspertów znających istotę każdego politycznego zjawiska. Słowa pana Vernon płynęły wartkim rytmem cudnej mowy francuskiej i grzebały już nie tylko samą Francję, lecz wszelką nawet myśl o jej zmartwychwstaniu. Roland słuchał nieodbitych, niezaprzeczalnych praw o nieodwołalnym upadku Francji i mimowoli przypominał mu się tragiczny krwawy czerwiec 1940 roku. To wszystko, co widział oczyma, co odrzucił sercem, czego nigdy nie chciał i nie mógł uznać — to teraz przedstawiał mu mądry, doświadczony pan Vernon. I, o straszliwa ironio, przedstawiał to wszystko we wspaniałej, akademickiej francuszczyźnie, której mu Roland podświadomie zazdrościł.

Gdy pan Vernon załatwił się już z przeszłością i teraźniejszością Francji i przeszedł do rysowania jej przyszłości, którą widział w więcej niż czarnych kolorach, powrócił Bill. Prawie cały *Flight* był już zgromadzony. Na stoliku stała długa kolejka *double'ów*. Bill zatoczył ręką nad kieliszkami: — “Kolejka stoi, kto płaci? Ty czy ja?” W uszach Rolanda dzwoniły jeszcze nieodparte mądre, niezbite wyroki potępienia wygłoszone przez pana Vernon. Podniósł kieliszek. Uśmiechnął się w stronę Bill'a. Wiedział, że łatwiejszą jest rzeczą uśmiech zwycięzcy, niż uśmiech pokonanego: “Zdrowie zwycięzcy!” Ale został z miejsca zakrzyczany: “Zdrowie fundatora!” Najwyższym wysiłkiem woli zdusił w sobie bezdenną rozpacz wywołaną mądrymi syntezami pana Vernon, doskonałego znawcy spraw Francji. Uśmiechnął się wesoło do swych przyjaciół z *Flight'u*: “*Cheerio!*”

* * *

Niekończącym się nigdy przybojem szły fale Morza Śródziemnego na niski, piasczysty brzeg. Pędzone łagodnym tchnieniem północnego wiatru, przynoszącego na te spalone słońcem diuny, słodki zapach niedalekiego Cypru, rozlewały się fale szeroko, po twardym, ubitym przez niezliczone przypływy, brzegu. Szumiały swą nigdy niekończącą się pieśń kędzierzawe głowy wysokich palm. Była właśnie pora najmilsza dla żołnierzy pustyni. Pora przedwieczornej kąpieli, gdy już zakończone zostały wszystkie prace dnia i gdy zelżał już okrutny, odbierający każdą drobinę energii i woli, upał pustynnego dnia. Było tradycyjnym zwyczajem oficerów *Flight'u*, że o tej porze ustaje wszelka praca i kto żyw udaje się nad morze. Była to zresztą nasza jedyna rozrywka, jedyny luksus naszego życia w Benina.

Lotnisko i wszystkie jego zabudowania nosiły na sobie ślady kilkakrotnej zmiany właścicieli. Prawdę mówiąc, to budynki nie tyle nosiły ślady, ile po budynkach zostały pewne ślady. Przeważnie okopcone pożarami mury, noszące różnojęzyczne napisy: “*Duce a semper ragione!*” “*51st Div. the One and Only!*” “*Wiederschen in Kairo!*” Przy niektórych napisach były i daty. Pierwsza ofensywa Wavell'a. Odwrót. Druga ofensywa Ritchie'go. Druga ofensywa Rommla. Trzecia /i ostatnia/ ofensywa Montgomery'ego. Całą historię afrykańskiej kampanii można było sobie odtworzyć z napisów na poczerniałych od ognia murach lotniska w Benina.

Ale studiowanie historii nie zajmowało zbytnio lotników. Zresztą cóż im znaczyła historia, im, lotnikom z foto-wywiadowczego *Squadronu*. Oni sami byli prekursorami historii, sami na wiele miesięcy przed każdym zdarzeniem odgadywali tajne zamysły Sztabu Generalnego, który nie mógł bez nich pracować. Na ileż to miesięcy przed zajęciem Madagaskaru, ich samoloty przelatywały nad wyspą rozpoznając i fotografując każdy szczegół umocnień. A Afryka? Każdy yard wybrzeża, każda bateria, każdy port został przez ich wielo-oczne kamery rozpoznany i utrwalony na filmie. To, co przychodziło potem, było tylko naturalnym następstwem ich wstępnych prac. Na wiele miesięcy przed inwazją porty Algieru, Tunisu, Dakaru nie miały dla nich tajemnic.

Roland dobrze pamiętał te loty. Zwłaszcza Dakar i stojącego tam “Richelieu.” Widocznie oficer dowodzący przeciw-lotniczą obroną pancernika żywił szczególnie antybrytyjskie uczucia, gdyż ilekroć “Maryland” Rolanda pojawił się nad portem, na jasnym, pobielanym od żaru niebie, wykwitały czarne kwiaty rozrywających się pocisków. Ale gorliwy marynarz nie doceniał szybkości “Marylanda” i ciemne kwiaty, przetykane złotymi płomieniami ognia rozkwitały daleko w tyle za samotnym samolotem. Dla Rolanda już sam fakt, że jest celem dla francuskich pocisków był nad wyraz przykry, ale już upokarzająco przykre było, że potomkowie Jeanne d'Arc, Sourcouff'a i Jean Bart'a strzelają tak rozpaczliwie kiepsko.

—O, szmaciarze — klął urażony w swych uczuciach Roland — i umyślnie przelatywał nad pancernikiem na wysokości masztów, by dać okazję artylerzystom z “Richelieu” oceny prawdziwej szybkości AR *for Arrow* “Marylanda.” Ale artylerzyści na widok ukazującego się z nienacka, lecącego na wysokości kilkunastu stóp samolotu, odbiegali od dział i nie rozumiejąc pokojowych intencji załogi, zbiegali z pokładu na molo w obawie przed powietrzną torpedą.

—“O, szmaciarze! — klął Roland — nie dla was powstała Marsylianka.” Jedyną jego pociechą było, że Bill odszedł na dowódcę do myśliwskiego *Squadronu* “Spitfire'ów” i był gdzieś na Malcie.

* * *

Właśnie gdy tak leżeli na piasczystej plaży, odpoczywając po przedwieczornej kąpieli, myśli Rolanda krążyły dokoła jego *ex-skipper'a* Bill'a. Co też robi? Czy żyje? Gdzie jest?

Odpowiedź przyszła nieoczekiwanie prędko. Natychmiast. Od strony lotniska niósł się ku morzu tuman kurzu. Gdy już zbliżył się do pasa twardego, morskimi przypływami ubitego mocno piasku, równego i elastycznego, jak najlepsza szosa — kurz opadł i ukazał się stary, ex-włoski autobus, który zmienną koleją losu służył teraz Królewskim Lotnikom. Z autobusu wysypała się gromada odzianych tylko w shorty i koszulki lotników, których szczupłe postacie i pełne życia ruchy dziwnie nie godziły się z długimi, przeważnie jasnymi lub rudymi brodami. Ale już taka była wtedy u myśliwców moda, by nosić możliwie najobfitszy zarost.

Dopiero gdy jeden z brodaczy stanął przed Rolandem i z wesołym: — “*Hallo Rolls* — wyciągnął rękę. Roland rozpoznał błękitne oczy i dziecinną, jakby wiecznie zdziwioną twarz Bill'a. — Cóż, nie poznałeś mnie stary?”

Trudno było poznać, same zmiany: zamiast młodej, wesołej, rumianej, zawsze czysto wygolonej twarzyczki młodego szczeniaka — twarz poważna, spalona na bronz, okolona rudym, na wzór bretońskich rybaków, zapuszczonym zarostem. Zamiast błękitnego zgrabnego munduru lotniczego — wypłowiała od słońca koszula i poszarpane, nie okrywające ud, szczątki shortów. Zamiast jednego paska F/O, na wymiętych naramiennikach koszulki khaki widniały trzy grube paski *Wing-Commander'a*. A już co najważniejsze, na lewej kieszeni koszulki tuż pod biało-niebieską wstążeczką D.F.C., błękitniał niebieski Lotaryński Krzyż zwolenników Generała de Gaulle — i bronzowa odznaka Legii Cudzoziemskiej: *Marchez ou Crevez*.

—“Co się tak przypatrujesz? Nigdy nie widziałeś *tropical outfit'u*?” — “Kto Ci pożyczył tej koszulki?” — zaciekawił się Roland. — “Nikt. Moja własna, dlaczego? Dziwisz się, że wpadłem w *Wing/commander'y*? To tylko *acting*”. — “Nie, to nie to. Wiem, że dowodziłeś *Squadronem* w czasie obrony Malty. Ale przecież nie mogę Cię podejrzewać o noszenie odznak francuskich.” — “Ach! Pamiętasz jeszcze nasz spór, zakład i Twoją przegraną? Zmieniłem zdanie o Francuzach, przynajmniej o części Francuzów. Przyznaję im prawo do Marsylianki, tej najpiękniejszej pieśni świata!” — “Co się stało? Ty? Bill? Wróg “żabo-jadów” nr. I? Musisz mi wszystko opowiedzieć. Poznałeś jakąś uroczą Madellon i ona Cię nawróciła?” — “Byłem, pod Ben-Hakeim z oddziałami generała Koenig'a. Wieczorem Ci opowiem, teraz chodźmy pływać.”

* * *

Życie na pustynnym lotnisku jest pozbawione wielu wygód, których się wprost nie dostrzega w codziennym, cywilizowanym życiu. Im mniej są one dostępne — tym bardziej się ich pragnie. To też dorwawszy się do komfortów Beniny, *Squadron* zagospodarował się wprost luksusowo. Roland oprowadzał Bill'a po mess'ie i z dumą pokazywał mu luksusowe urządzenia.

—“Ten kurek — to woda do mycia. Teraz nie ma wody, ale codziennie od 7 do 9 rano i od 6 do 8 wieczorem możesz tu przyjść z miednicą lub kubkiem i myć się w słodkiej, czystej wodzie. Codziennie golimy się i myjemy w świeżej, słodkiej wodzie. A tutaj — to nasza messa. Wprawdzie dach zawalił się od bomb, ale jak widzisz, ściany są O.K. i podłoga została wyrównana. Te fotele, są z włoskich i niemieckich transportowców. Ta pancerna szafa, dawne: *Melde-Kopf Archivum*, zawiera nasz bar, mamy komplet kieliszków, zrobionych z rakietowych łusek. Za pół godziny, punktualnie o 6-ej, otworzą bar — tak samo jak we wszystkich mess'ach *United Kingdom*. Nawet teraz przebieramy się do obiadu, to jest zakładamy krawaty i opuszczamy rękawy koszul. Za kilka dni dostaniemy pastę i zaczniemy nawet czyścić buty. Nasz C.O. bardzo dba o kulturalne stosunki na naszej Stacji. Tylko nie wszyscy dorośli do wymaganego przez C.O. standardu. Ostatnio, na przykład, sprowadził, na własny koszt dwie miednice, lustro, szczotki do butów i do włosów i pastę do butów. Ale jedną miednicę wziął oficer mess'owy na wazę do zupy, jedną szczotkę ktoś ukradł, a pastę zjadł nam nasz arabski posługacz. Teraz używamy tej samej szczotki do butów i włosów i to tłumaczy, dlaczego tylu ex-blondynów ma teraz ciemne włosy. Ale bar jest O.K.”

Jakby na potwierdzenie tych słów, punktualnie o 6-ej kapral Wilkins otworzył pancerne drzwi barowej szafy. Bill i Roland ująwszy mosiężne łuski, wypełnione złocistym płynem, zasiedli w głębokich fotelach, z których jeden jeszcze niedawno był fotelem w pasażerskiej “Savoia Marchetti,” a drugi został wydobyty z zestrzelonego “Ju 52.” Po pierwszych kolejkach, Bill zaczął opowiadanie:

—“Nie wiem czy pamiętasz, to już dość dawno temu, kiedy po klęsce, którą poniósł generał Ritchie /nie jestem *sure spelling'u*/, pozycja 8-ej Armii była raczej niekorzystna. Sprowadzenie posiłków lądowych trwałoby zbyt długo, a Rommel parł całą parą ku Cairo. Rzucono więc całe rozporządzalne rezerwy lotnicze. Wśród nich znajdował się także i mój *Squadron*. Wyznaczono nam lotnisko na południe od Tobruku w El-Klina. Tegoż dnia powierzono nam wymiatanie w rejonie na zachód od Ben-Hakeim. Pierwszym razem powiodło się nam wspaniale. Zestrzeliliśmy 9 “Ju. 86” i “Stuka”.

Po południu kazano powtórzyć wymiatanie. Tym razem “Stuk'i” były osłaniane przez dość silne patrole Me. Zawiązała się gwałtowna walka. Właśnie miałem na celowniku swego jedenastego *Jerry* w ogóle, a drugiego tego dnia, gdy sam dostałem nienajgorszą serię w motor. Motor stanął w płomieniach. Odrzucając hub, miałem jeszcze tę satysfakcję, że zauważyłem, że mój “klient” wyskakuje z palącej się maszyny. Za chwilę poszedłem jego śladem. Lądowałem między dwiema diunami.

Gdy tylko podniosłem się z upadku, nad głową zagwizdały mi kule i piasek zagotował się od padających wokół pocisków. Padłem natychmiast i leżąc zastanawiałem się komu zawadza moja obecność na pustyni. Tak leżałem aż do zapadnięcia ciemności. Ilekroć chciałem powstać, pociski zmuszały mnie do zajęcia pozycji horyzontalnej. Gdy zapadła noc usłyszałem kroki skradające się od strony północnej. Oczywiście, byłem bezbronny. Mając cztery działka w swym “Spitfire'erze,” uważałem za bufonadę, dodawać jeszcze do tak potężnego uzbrojenia, rewolwer. Mocno tego wtedy żałowałem.

Jak Ci już powiedziałem, kroki zbliżały się od północnej strony — możesz więc sobie wyobrazić moje przerażenie, gdy otoczyły mnie trzy cienie, które wyskoczyły na mnie od strony południowej. Na widok skierowanych w moją stronę bagnetów, podniosłem ręce do góry. Otoczyli mnie żołnierze w mundurach Francuskiej Legii Cudzoziemskiej. Jeden z nich mówił po angielsku. Wytłumaczyłem mu kim jestem i ostrzegłem go, że od strony przeciwnej do tej, z której oni przybyli słyszałem cały czas hałas i jakby kroki. Roześmiał się i wyjął z kieszeni kilka kamieni. Rzucił je w stronę północną i znów usłyszałem jakby ktoś podchodził. Na widok mej zaniepokojonej twarzy roześmieli się: — “To stary *trick* praktykowany w Legii, jeszcze z czasów walk z Arabami. Rzuca się kamień tam, gdzie chce się skierować uwagę tego, kogo się chce zaskoczyć. Prawie nigdy nie zawodzi, poznałeś to na sobie”.

W parę godzin później byłem w kwaterze generała Koenig'a. Generał przeprosił mnie, że mnie nie może odesłać na tyły do Tobruku. Był to szósty dzień walk pod Ben Hakeim i oddziały francuskie były otoczone. — “Musisz dzielić nasz los, *Commander'ze* i albo się z nami przebijesz, albo tu zginiemy. Ta noc rozstrzygnie o naszym zwycięstwie, lub klęsce. Ponieważ nie znasz się na walce pieszej, nie przydzielam Cię do żadnego oddziału, nic byś tam nie pomógł, będziesz tu przy mnie w H.Q. i może tu coś będziesz w stanie nam dopomóc.”

Ben Hakeim leży, jak zapewne wiesz, na skrzyżowaniu pięciu szlaków. Dalsze posuwanie się Rommla na wschód było uwarunkowane zdobyciem Ben Hakeim, które zagradzało drogę dalszego marszu południowemu skrzydłu Korpusu Afrykańskiego. Świt zastał mnie na wzgórzu 172, gdy z pierwszym blaskiem słońca wyruszyło natarcie 21-ej pancernej dywizji. Widok sunących w tumanach złotej kurzawy potężnych czołgów był doprawdy imponujący i cudny w swej grozie. Blaski nisko nad horyzontem stojącego słońca, oświetlały czołgi jakby od dołu i czyniły je jeszcze większymi.

Z chwilą wyruszenia natarcia, było dla mnie zupełnie jasne, że nic i nikt nie zatrzyma tego rozpędzonego wału stali i ognia, że dojście stalowych potworów na wzgórze 172, jest tylko sprawą kwadransów, jeżeli nie minut. Cienka linia francuskiej obrony była jakby niteczką mającą zagrodzić drogę potężnemu stadu słoni. Byłbym na pewno zwiał, gdyby było gdzie wiać, ale wiedziałem, że na naszych tyłach już są zmotoryzowane dywizje włoskie. Pamiętam, że nawet zastanawiałem się już nad możliwościami ucieczki z niewoli niemieckiej, gdyż było dla mnie aż nadto oczywiste, że najdalej za godzinę będę albo zabity, albo, w najlepszym razie, jeńcem.

Czołgi szły niewstrzymaną lawiną. Gdy były na jakieś 150—200 yardów przed linią obrony, odezwały się francuskie działka przeciwczołgowe, wysunięte na linie piechoty. Ogień musiał być kierowany przez doskonałych strzelców, gdyż kilkanaście czołgów zatrzymało się, niektóre z nich stanęły w płomieniach. Widziałem jak z czołgów wyskakiwały ich obsady w palących się mundurach, niektórzy z płonącymi głowami, niektórzy wprost zamienieni w słupy czerwonego ognia. Ale przeszło połowa czołgów ocalała i parła niewstrzymanie naprzód, niektóre już dochodziły do przedpola okopów.

Jeszcze kilka wybuchów min, jeszcze kilka celnych strzałów, parę czołgów zatrzymało się, parę stanęło w płomieniach, ale pierwsze rzuty czołgów już przekraczały okopy. Z niskich, pół zasypanych uprzednim ogniem artyleryjskim okopów, z pojedynczych dołów i jam, podrywali się pojedynczy żołnierze Legii Cudzoziemskiej, by granatami powitać stalowe potwory, przewalające się przez zasypane, porozrywane okopy. Jeszcze kilka pożarów, jeszcze kilka czołgów zatrzymanych już po przejściu okopów i — widocznie nerwy niemieckiego dowódcy zawiodły, kilka pozostałych czołgów zaczęło się wycofywać. Z potężnego natarcia, liczącego co najmniej ze 60 czołgów, nie więcej niż 10 wracało na zachód, poganiane rozpryskami granatów przeciwpancernych.

Następny atak wyruszył jeszcze tego dnia, tuż po godzinie 3-ej. Tym razem czołgom towarzyszyły *dive-bomber'y*, które pracę swą zaczęły od atakowania stanowisk działek przeciwpancernych i moździerzy piechoty. Ataki przeprowadzały z niebywałą furią, wprost zasypując, zryte i bez tego okopy, celnie zrzucanymi bombami. Ale bezkarna hulanka nie trwała nawet dziesięciu minut, gdy nadleciał pierwszy klucz “Spitfire'ów,” do którego dołączył cały dywizjon, no najwyżej chyba w 3—4 minuty.

Sytuacja odwróciła się. Myśliwy stał się zwierzyną. Sam wiesz, że “Stuka” nie jest dla “Spitfire'a” niczym więcej, niż kaczka dla strzelca. Ale pomimo rozpędzenia “Stuka”, natarcie czołgów wyruszyło w trzech głębokich rzutach. Tym razem żaden z czołgów nie doszedł nawet do linii zasieków. Słońce już przetaczało się na zachodnią stronę horyzontu i ułatwiało branie na cel jasno oświetlonych olbrzymów. Całe przedpole znów pokryło się palącymi się czołgami.

Wiesz, my lotnicy mało o swych czynach mówimy, ale myślimy o sobie dość wiele i pracę swą każdy z nas ocenia dość wysoko. Ale po tym, co widziałem pod Ben Hakeim, ja już wolę swoje loty, ataki, niespodziewane zaskoczenia, nawet ogień zaporowy nad Hamburgiem, niż tak siedzieć w wygrzebanej jamce na wprost sunącej lawiny stalowych potworów, wiedząc, że jeśli ich nie zatrzyma ogień artylerii, ani pola minowe, to ja, nieokryta pancerzem, słaba, powolna istotka, będę musiał opuścić swą wygrzebaną w ziemi norkę i wyjść naprzeciw stalowym potworom, by rzucić im pod straszliwe, łamiące wszystko gąsienice, wiązkę ręcznych granatów. Nie, dziękuję. Takie oczekiwanie może się równać jedynie z lotem w ciężkich warunkach oblodzenia, choć nie wiem, czy nie wolę lotu. W obu wypadkach czujesz dopiero całą niemoc wobec potężnego wroga.

Po odparciu drugiego tego dnia, a coś szesnastego od początku walk o Ben Hakeim ataku, generał Koenig otrzymał rozkaz wycofania się. Obrona Ben Hakeim spełniła swe zadanie, 8-ma Armia przegrupowała się na wschód od Tobruku, by przyjąć całą furię Rommelowego ataku. Tej nocy oddziały francuskie miały się przebić przez otaczający je pierścień włoskich dywizji i połączyć się z 8-mą Armią.

Wieczorem, na parę godzin przed opuszczeniem Ben Hakeim i atakiem na Włochów, gdy jadłem jakieś *haice*, popijając je kwaskowatym winem, przysiadł się do mnie pewien mówiący po angielsku oficer. Nie mogłem się powstrzymać od wyrażenia mu słów podziwu dla bohaterskiej obrony. W odpowiedzi usłyszałem: — “Szkoda, że pan nie widział trzeciego dnia walk, gdy po czterogodzinnym huraganowym ogniu artylerii, wyruszyło do natarcia ponad 100 czołgów i zaledwie połowa ich wróciła.” Nie mogłem wstrzymać ciekawości: — “Dobrze, ale jak to się dzieje?” Francuski oficer nie bardzo mnie zrozumiał. — “Cóż pan chce, francuski żołnierz wytrzyma wszystko, a w ostatnim momencie, gdy okopy są już tylko kretowiskiem lejów, znajdzie zawsze najwyższy moral, by przejść do zwycięskiego przeciwnatarcia”.

Wyjaśniłem mu, nieco dokładniej swe pytanie, dodając, że w maju i czerwcu 1940 byłem w północnej Francji. Oficer francuski wykonał ręką ruch, jakby odpędzając uprzykrzoną muchę: — “Ach, to. Jestem żołnierzem i nie potrafię podać panu politycznych czy społecznych przyczyn klęski. Ale żołnierz francuski jest zawsze ten sam. Ten sam nieśmiertelny duch męstwa i *amour sacré de la Patrie* ożywiał serca grenadierów pod Austerlitz, bohaterskiego *poilu* z nad Marny, obrońców Verdun i Ben Hakeim. W maju i czerwcu 1940 roku żołnierzowi francuskiemu zabrakło nie woli walki, ale dowódcy, który by go do tej walki poprowadził. Tu, ten sam żołnierz francuski, który w 1940 roku całymi kompaniami uciekał przed pojedynczym niemieckim motocyklistą, stanął z granatem ręcznym naprzeciw lawiny czołgów — i sam pan widziałeś — lawina czołgów nie przeszła, ożyło stare hasło spod Verdun: NIE PRZEJDĄ! Ale tu żołnierz francuski znalazł dowódcę, który go do walki poprowadził drogą nieśmiertelnej chwały francuskiego oręża.” — Po chwili podjął dalej, już innym tonem: — “Niestety, muszę już pana opuścić, za godzinę prowadzę swą kompanię do natarcia. Zdziwią się biedne, głupie makaroniarze, że pewny już, jak myśleli, trup, jeszcze potrafi przejść się po nich. Za parę dni będzie pan znów wśród swoich, za tydzień może będę widział znów pański samolot na tle afrykańskiego nieba. Cieszę się, że pan, który widział rok 1940 we Francji, widział też i obronę Ben Hakeim. Niech pan się nigdy nie da złudzić pozorom: Francja jest nieśmiertelna!” — Odszedł w ciemność afrykańskiej nocy.

Miał rację, włoskie oddziały były tak zaskoczone natarciem, że wojska gen. Koenig'a przeszły przez nie jak samolot przez chmurę. Jedynym skutkiem walki, było to, że za kolumną gen. Koenig'a wlokły się teraz setki jeńców i kilku włoskich generałów. Wieczorem napotkaliśmy wysunięte placówki 8-ej Armii.

W parę dni potem już byłem w *Squadronie*. Potem miałem jeszcze parokrotnie tę niewątpliwą przyjemność osłaniać z powietrza działania francuskich oddziałów gen. Koenig'a.

Słuchaj Roland, ja wiem, że jestem tu gościem, że to Twoja messa, ale proszę, pozwól, bym ja postawił następną kolejkę Wam wszystkim. Chcę wznieść toast”.

Gdy kapral Wilkins rozstawił wśród nas mosiężne kubki napełnione złocistym trunkiem, *Wing Commander* Bill powstał. Uniósł w górę mosiężną łuskę, zastępującą kielich:

—“Panowie — FRANCJA.”

BOLESŁAW POMIAN

Szkraby i dryblasy.

(Korespondencja własna "Polski Walczącej")

Szkraby z Nazaretu

m.p. Śr. Wschód w styczniu 1944

Jest jeden temat, którego rzadkie i na ogół bałamutne ujmowanie na łamach prasy polskiej nie stoi w żadnym stosunku do wielkiego znaczenia — temat młodzieży. Sprawy te toną w powodzi polemik i personaliów, a jeszcze do niedawna było o nich zupełnie głucho. Wyłom zrobili junacy, i to jedynie, jak się zdaje, dzięki atrakcyjności, jaką dla swoich i obcych przedstawiają te dzieci w mundurach, dzieci maszerujące jak żołnierze, urodzeni żołnierze; dzieci, które przedwcześnie stały się dorosłymi, które już nigdy dziećmi nie będą.

Tak było, gdy ewakuacja z Rosji wyrzucać zaczęła junaków, ale w większości tak jest jeszcze i teraz, gdy młodzież junacka ma poza sobą półtora roku normalnej, zorganizowanej pracy szkolnej. Junactwo polskie ma już swoje doświadczenie i swój horyzont nie tylko wojskowy, ale i szkolny, wychowawczy, a ze Środkowego Wschodu sięgnęło nawet do Anglii. Ma swe znaczenie zupełnie specjalne, w okresie całkowitego tępienia szkolnictwa polskiego w Kraju. Teraz można już dać pewną syntezę pracy tego największego dzisiaj, zorganizowanego szkolnictwa polskiego poza Krajem, szkolnictwa żołnierskiego. Najlepszą, najwymowniejszą syntezą będą obrazy z życia tych dzieci w mundurach.

JAK SIĘ ZACZĘŁO

Ich życie szkolne zaczęło się w Palestynie. Jeszcze na piasku, pod namiotami, bez książek i pomocy szkolnych, bez dopasowanych mundurów. Chodzili, tego lata 1942 roku, w olbrzymich buciarach i przepaścistych szortach, w hełmach korkowych—dziwne grzybki w dziwnym obozie wyrastające coraz liczniej; dzieci garnące się najwięcej do kobiet. Przyjazd nauczycielek, przydzielanych spośród "Pestek" był pierwszą okazją głośnego śmiechu. Bo zresztą obóz się nie śmiał. Te dzieciaki zgubiły uśmiech w Rosji, na tej drodze, która znaczona jest tylu mogiłami.

Byłem pierwszym dziennikarzem polskim w Palestynie, który był w pierwszym ich m.p. na Ziemi Świętej. Odtąd widziałem ich nieustannie, patrzałem na ich pracę, na wysiłek największy nauczycieli, na zmiany, na wszystko co później i teraz wydaje się zrozumiałe, a czego wtedy nie było, o czym się tylko marzyło.

Z przygodnego, piasczystego obozu wyrosły stałe obozy, namioty zamieniły się na baraki, na sale mieszkalne, jadalne, na klasy, ba! nawet na pracownie. Dzisiaj nie widać już dawnego wysiłku, są tylko wyniki, mniej lub więcej podlegające krytyce, ale są. To już jest zorganizowane, normalne szkolnictwo, plus — wojsko. Bo chłopcy ci wojskiem być nie przestali. To jest niemożliwe. Mundur dał im wolność, wyprowadził z Rosji, dał książki, których tak pragnęli, zastąpił dom utracony. Wojsko jest dla nich Polską, tą samą Polską, którą w Rosji, jak sami dziś mówią, była dla nich — książka polska. Sarkają czasem na przeciążenie zajęciami, na takiego czy innego szefa kompanii, ale mundur kochają, są — żołnierzami, najmłodszymi żołnierzami armii. I z tego są dumni.

Wszyscy, od najmłodszego berbecia z powszechnej, który uczy się dopiero czytać i pisać, a pod takt werbla maszeruje swym drobnym, wyciągającym się /by zdążyć . . ./ krokiem, aż do dryblasów z najstarszej kompanii kadeckiej, która już ma obycie naprawdę żołnierskie, która jest "oblatana" po wielu defiladach, a w Kairze na święcie aliantów reprezentowała nawet armię polską, i to znakomicie. Zresztą ten szkrab z Nazaretu, powszechniak, czuje się kolegą każdego żołnierza, w dodatku wie, że z szeregów junackich wyszło wielu do wojska, że absolwenci szkół junackich w szeregach i podchorążówkach szkołom tym zyskują najwyższe uznanie.

Dzisiaj junak, to jest już pozycja. W 1942 roku uchodził raczej za biednego "sierotę," teraz mocny, pucułowaty, pewny siebie, choć ciągle jeszcze za poważny, za smutny, wierzy w siebie i nie daje sobie w kaszę dmuchać. A w armii cieszy się wielką sympatią. W tej armii, w której imieniu generał Anders powiedział chłopcom sierotom, że mają prawo mówić "ojcze" każdemu żołnierzowi.

Przeszłość ponura jest już daleko, daleko poza tą młodzieżą. Nie lubią o niej mówić, nie znoszą cierpiętnictwa, jak w ogóle nienawidzą frazesu. W swym miesięczniku "Junak" nie chcą pisać na tematy swych przeżyć, ani drogi z Rosji. Interesuje ich przyszłość. W tym są podobni do "prawdziwych żołnierzy," do sióstr sanitarnych, które tyle przeszły. Oni wszyscy pamiętają tę przeszłość, ale nie lubią, nie chcą o niej mówić, wspominać. Mimo to, patrząc dzisiaj na liczne te obozy, w których uczą się junacy i junaczki, na kadry nauczycielskie, na absolwentki z maturą w chlebaku, warto przytoczyć proste słowa junaka, dzisiaj kadeta Juliusza Badjana, który w nr. 2 "Junaka" tak pisze o junackim szlaku do Polski:

"Każdego dnia z garnizonu Wrewska na cmentarz jadą drabiniaste wozy wojskowe. Codziennie mrą dzieci i dorośli, rosną rzędy krzyży. Szpital przepełniony: leżą na łóżkach, na ziemi, po kątach. Wloką się niewstrzymaną falą; wypełniają przytulisko izolacji, sale dworca, biura. W obszernych barakach szkoły wzrasta stale liczba junaków. Są drobni, wychudli, chorzy, nienasyceni. Przybrani w strzępy ubrań i resztki butów, czekają z utęsknieniem na otrzymanie munduru, na upragniony wyjazd do Persji czy Indyj. Uczą się dorywczo, pobierają prowiant, natrętnie wystają po repetę, odprowadzają kolegów na miejsce wiecznego spoczynku i jeszcze — dziesiątkami chorują, mrą.

Po sowieckich mundurach watowanych przyszły nareszcie wymarzone *battle-dressy*, przywielkie i zwisające, oraz potężne, ku górze wygięte buciory. Ale w szpitalnych barakach nadal ginęły dzieci, zapełniał się pokoik kostnicy, na rogach, pod zabudowaniami zamarzały na śmierć coraz to nowe ofiary — zniedołężniałe, wyczerpane i głodne.

Co dzień wznosił się i opadał sztandar na maszcie, a ze skleconej wieżyczki rozbrzmiewał hejnał mariacki.

Rzędy krzyży rosły, wzrastała liczba mogił na szlaku do Polski. Ale większość przetrwała, przeszła, wytrwa i dojdzie."

Taki, przez dziecko, chłopca 16-letniego, odmalowany obraz musi dać nam właściwe zrozumienie obecnego życia młodzieży junackiej, jej pracy, możliwości, wysiłku wychowawców, wreszcie ocenę opieki armii polskiej, bez której nie byłoby dzisiaj szkolnictwa junackiego.

NAZAREJCZYCY

Nazaret. Miasteczko dzieciństwa Chrystusowego, górami opasane, soczystą zielenią przybrane, świecące białością płaskich domów arabskich i krótkich wież klasztornych. Miasteczko — junaków. Nie jest to przesada.

Na górze, 1000 mtr. nad poziomem morza, skąd widzi się górę Tabor i szeroką, jeszcze malaryczną dolinę Emeku, w klasztorze mieszka i uczy się ponad dwustu najmniejszych junaków, tych, którym najbardziej brak matki, a którym jeszcze najłatwiej przywrócić można zaginiony uśmiech. Jest to normalna szkoła powszechna z klasami, obsadzonymi — jak zresztą w innych szkołach — nie tyle według wieku, co posiadanych wiadomości.

To są jeszcze zupełne dzieci, wyżywające się dzisiaj w życiu żołnierskim, w wartach i meldowaniach, które zastępują im dawną zabawę w konie i wojsko. Szkraby, najmilsze szkraby są wielce przejęte powierzanymi im funkcjami — służby, warty i t.p., i chociaż do nauczycielek swych /tutaj uczą tylko kobiety/ garną się po . . . pieszczoty, na zewnątrz za nic nie chcą się przyznać, że nie są wojskiem. Trzeba widzieć takiego junaka Kotka, najmniejszego ośmioletniego żołnierza, jak melduje się dowódcy; trzeba widzieć ich defiladę w takt własnych werblistów; trzeba było widzieć tę rozpacz, gdy odebrano im mundury żołnierskie, zastępując je granatowymi ubrankami. Rozpacz kazała im odmówić wyładowania nowych rzeczy z samochodów — po prostu bunt najmłodszych. Dopiero perswazja, dopiero specjalne żółte epolety z literami srebrnymi JSP /Junacka Szkoła Powszechna/ i berety — jak przy czołgach — z orzełkiem, rozwiązały ten kryzys, jaki wybuchł w Nazarecie.

Podczas uroczystości narodowych, z dziedzińca panującego nad Ziemią Świętą, rozbrzmiewa hejnał mariacki. Zwarty czworobok malców polskich, którzy tutaj w Nazarecie tworzą legendę polską, zbiera się codziennie na apel wieczorny i modlitwę chóralną.

Nazarejczycy mają swoją tradycję w Palestynie. Przyjeżdżają do nich Anglicy, stałymi gośćmi są miejscowi notable arabscy, a popisy chóru junackiego w szkołach Nazaretu stanowią wielką atrakcję. Tak samo zresztą, jak każdy przemarsz uliczkami miasteczka, jak marsz sportowy na przełaj, jak każdy mundur polski. "Bolonia dobra" — krzyczą małe Arabczuki i stare Araby.

Był w Nazarecie i Wódz Naczelny generał Sosnkowski. Na serpentynach białą wstęgą płynących do klaszoru-szkoły zdziwił się bardzo; dziwna żandarmeria wskazywała drogę: chłopaczki w mundurach, z białymi rękawami i hełmami żandarmerii drogowej. Poważnie, bez uśmiechu, regulowali ruch na wąskiej szosie. Potem meldowali Wodzowi, też poważnie. Jednak potem wziął ich uśmiech i serdeczność Generała, i śmiać się musieli.

Najmilsza to szkoła. Zmniejsza się jednak, bo każda promocja odsyła klasę najstarszą do innego m.p., do tak zwanej Starszej Szkoły Powszechnej, "starszej" nie wiekiem, lecz programem.

"MAJĄ OKO . . ."

Stan "Starszej" także się zmniejsza: nie tyle dzięki promocjom ile odpływowi do Anglii. Stąd najwięcej chłopców zabrali do szkoły lotniczej w Anglii. Było to wielkie dla szkoły i dla chłopców wyróżnienie, ale nauczyciele skarżyli się na komisję. — Mają oko — mówili — niech ich diabli. Pozabierali nam najzdolniejszych.

Wybrani, byli też między nimi kadeci, paradowali jeszcze dość długo wśród braci junackiej, pysznili się furażerkami lotniczymi i nazwą "dywizjon." Prześmiewali ich jako "lordów," ale w gruncie rzeczy zazdrościli podróży dalekiej, przydziału do lotnictwa, a także — swobody zapuszczania dłuższych włosów i regularnej nauki boksu, bo "podobno" dżentelmen musi się umieć boksować.

Chłopcy jechali bardzo chętnie. Wszyscy chcieli być lotnikami. Jeden tylko kadet, marynista wielki i z morzem polskim związany, wyznał, że ciągnie go przede wszystkim jedno: — "Stamtąd wrócę chyba przez . . . Gdynię."

Dziś już piszą z Anglii, zadowoleni. Młodość chętnie i łatwo zapomina o przeszłości. Na szczęście.

KADECI

Poza powszechniakami są jeszcze kadeci, uczniowie Junackiej Szkoły Kadeckiej o programie gimnazjum i liceum, są mechanicy — uczniowie pięciu szkół mechanicznych, rozmieszczonych w Palestynie i Egipcie przy wielkich warsztatach wojskowych angielskich /jest to typ szkół fabrycznych w przedwojennej Polsce/, wreszcie są jeszcze lotnicy i "druciki" — gimnazjum mechaniczno-lotnicze oraz Szkoła Łączności w Egipcie.

Jak w każdej społeczności tak i tutaj wytwarzają się różnice, przez chłopców samych podkreślane. Chyba najdumniej noszą się kadeci, stanowiący zwykle na defiladach pewnego rodzaju reprezentację junaków. Oni to dostarczają najwięcej poetów, literatów "Junakowi," artystów różnym przedstawieniom i inscenizacjom. Predestynuje ich do tego poziom gimnazjum, ale choć niektórzy z nich kręcą nosami, są takimi samymi junakami, jak inni w innych szkołach.

Wkrótce w szkole kadeckiej będzie pierwsza matura.

Mechanicy, to inny typ junaka. Jest tu przeważnie młodzież z uzdolnieniami technicznymi, młodzież tak zdolna, że w podziw wprowadza angielskich instruktorów. Rozwój chłopców jest nadzwyczajny. Szkoły te dostarczą Polsce kadr wysoko wyspecjalizowanych fachowców w dziedzinie przede wszystkim przemysłu uzbrojenia, a obeznanych z metodami angielskimi i angielską terminologią techniczną. Ostatnio junacy przebywający w Egipcie zawarli wielką przyjaźń z Amerykanami.

AMERYKAŃSKA GWIAZDKA

W pierwsze święto kilkuset junaków z trzech szkół zjechało do wielkiego obozu amerykańskiego na specjalnie dla nich urządzoną "*Christmas party.*" Rozmach był iście amerykański, organizacja również. Wszyscy zostali obdarowani prezentami, które pod choinką rozdzielał sierżant Paluszek, obywatel amerykański. Szczególnie dbali o naszych chłopców żołnierze amerykańscy polskiego pochodzenia, mówiący jeszcze nieźle po polsku. Na obiad był indyk i lody, wspaniałe lody, które Amerykanie jedzą o każdej porze roku. Zresztą zima egipska jest bodaj cieplejsza od lata polskiego, więc i lody świąteczne naszym nic nie zaszkodziły. Nie było to pierwsze spotkanie junaków z Amerykanami. Już poprzednio, w obozach, amerykańscy żołnierze bardzo chętnie przebywali w towarzystwie junaków, o których mówią, że są — "*very good boys,*" tylko czemu tacy smutni.

Junacy się uśmiechają. Już . . . To jest prawda. Ale prawdą jest również, że rzadko usłyszy się wybuchy radosnego śmiechu, śmiechu całą gębą. Tego już chyba nie będzie.

Wszyscy uczą się bardzo chętnie, rozumieją potrzebę nauki, doceniają znaczenie książki. I jeszcze; zdają sobie dobrze sprawę z faktu systematycznego trzebienia ludności polskiej w Kraju, mają poczucie odpowiedzialności, że oni mogą dużo, bardzo dużo pomóc po wojnie. Uczą się więc, chociaż nie zawsze warunki są sprzyjające. Przede wszystkim program zajęć jest tak obfity, że na własną naukę zostaje mało czasu. Chłopcy są pracą zawaleni. W rozpoczętym w ubiegłym wrześniu nowym roku szkolnym, już drugim, wyznaczone zostało tempo specjalnie szybkie: w czasie od września 1943 do lipca 1944 wszystkie szkoły przerobić muszą dwa lata szkolne. Pewnym do tego przygotowaniem była praca zeszłoroczna w niektórych klasach, które nadrabiały braki w tempie przyśpieszonym.

Różnice między junakami są ciągle jeszcze bardzo wielkie: wiekiem, wyglądem i siłą fizyczną. Wydaje się, że jeszcze organizm nie przyszedł całkowicie do siebie, tak by przynajmniej sądzić po apetycie, wręcz fantastycznym. Zdrowotnie przedstawiają się jednak dobrze. Najgorsza jest malaria, zwłaszcza wśród junaczek, gdzie procent malaryczek jest bardzo wielki. Wszystko to stanowi przecież element najmocniejszy. Natura sama dokonywała tego doboru. Tutaj, w szeregach junackich, są ci najsilniejsi.

Dzisiaj wielu rwie się do wojska, jeszcze zanim wzywa ich komisja poborowa. Armia chwali szczególnie element junacki. Absolwenci, już bardzo liczni, szkoły łączności, wykazują wielką sprawność.

To są szkoły. Ale szkoły z pogotowiem fizycznym, duchowym, z książką w plecaku, z karabinem w ręku.

TADEUSZ PNIEWSKI

Dryblasy z Kadeckiej

Polska — żywymi oczami

Z Niemcami pod jednym dachem*

Wydana w podziemiach polskich książka "Honor i Ojczyzna" przytacza scenkę z niemieckiego filmu na temat wysiedleń. Przychodzi urzędnik *"Wohnungsamtu"*, zastaje polską rodzinę przy stole. — "Niech sobie państwo nie przeszkadzają, poczekam" — skromnie oświadcza. Następnie z ubolewaniem stwierdza konieczność odstąpienia domu Niemcom, proponuje w zamian liczne mieszkania, płaci za przedmioty, które mają pozostać, powyżej ich ceny, razem z gospodarzami ustawia kwiaty w wazonach, urządzając *"Willkommen"* dla oczekiwanych niemieckich gości.

Nie wiadomo, co tu najpierw podziwiać: beznadziejną głupotę niemieckich propagandystów /bo film ten przecież wyświetlany był w Polsce/, czy też ich bezgraniczną bezczelność! Każdy kto przeżył choć jedną rekwizycję, kto choć przez miesiąc przemieszkał z konieczności z Niemcami pod jednym dachem, musiał się świetnie zorientować w metodach i obyczajach narodu *"Kulturträgerów"*.

Pomijam wypadki krańcowe: rabunków czy mordów. Zupełnie wystarczy przyjrzeć się normalnym obyczajom niemieckich współlokatorów, aby zrozumieć, do jakiego upadku moralnego doprowadzono naród niemiecki. Mieszkałam przed wojną w dzielnicy, którą uznano następnie za niemiecką. Do września 1941, gdy musiałam opuścić to mieszkanie, przewinęło się przez mój dom kilka grup lokatorów niemieckich: byli wśród nich wojskowi i cywile, członkowie partii i SA-Mani. Mieszkania wszystkich moich znajomych były również częściowo lub całkowicie zarekwirowane, wymieniano więc ciągle spostrzeżenia i oceny, które na ogół powtarzały się, z małymi tylko odmianami.

W tych obserwacjach jedno nie ulegało wątpliwości: Niemcy u siebie w domu są nadal tym samym karnym i zdyscyplinowanym wobec swych władz narodem, postępują według rozkazów z góry, pamiętając w każdej chwili, że żyją wśród wrogów. Jeszcze może łatwiej było by znieść otwartą nienawiść, stosunek jednak Niemców do nas jest wypadkową nienawiści i pogardy.

Może znajdzie się kiedyś wytłumaczenie dla zagadki duszy niemieckiej, wytłumaczenie jak mogło dojść do tego, że cały naród ślepo uwierzył w podawaną przez władze propagandę, poddał się bez sprzeciwu kadzidłom i czarom Goebbelsa, magii kłamstw, powtarzanych aż do momentu przyjęcia ich za prawdę.

W każdej dyskusji z Niemcem dochodziło się do punktu, w którym padały, jako ostateczne argumenty, cytaty Goebbelsa z *"Das Reich"* lub nawet zdania z *"Krakauerki"*, czy komunikatu radiowego. Zadziwiająca jest też skłonność do automatycznego powtarzania utartych poglądów, które obiegają błyskawicznie całą zbiorowość niemiecką. Uderza często nawet zgodność sformułowań słownych. Do znudzenia się słyszało te same slogany z ust wojskowych, cywilnych, czy funkcjonariuszy partyjnych.

"Żydzi muszą zginąć co do jednego, aby mógł zapanować pokój na ziemi". "Polacy są odpowiedzialni za wybuch wojny, muszą ponieść konsekwencje". "Miasta angielskie będą zmiecione z powierzchni ziemi", "Anglicy będą na kolanach prosić o pokój w przeciągu trzech tygodni". Inne na użytek czysto wewnętrzny: "Gdyby żył marszałek Piłsudski, nie doszło by do wojny", "Polacy, jako naród niższy kulturalnie, powinni być szczęśliwi, mając możność wejścia do wspólnoty niemieckiej". Na każdym kroku podkreśla się ową niższość Polaków — uwierzyli jednomyślnie, że Polska jest tylko terenem ekspansji dla narodu o cechach władczych.

Z właściwą Niemcom karnością wszyscy pracują dla celów propagandy. Jeżeli ich robota wywiera w Polsce skutki przeciwne celowi, to zasługa tylko naszej odporności. Nie ma oczywiście mowy, aby mogli kogokolwiek przekonać, w to sami Niemcy nie wierzą, ale u narodu mniej odpornego mogliby wywołać stan zniechęcenia i trwogi, wygodny z wielu względów dla okupanta.

Niemieccy lokatorzy, celują w tym kobiety, przynoszą codziennie do domu wszystkie złe wiadomości, wszystkie szerzące panikę plotki. "Wywożą więźniów z Pawiaka", "przyłączają Kraków do Rzeszy", "Anglicy prosili o pokój", "w Dieppe rozbito ogromną armię inwazyjną" — oto próbki nawiązania rozmowy przy koniecznym czasem spotkaniu, zwłaszcza w kuchni. Łatwiej zresztą przemycać wiadomości drobniejsze, o większych pozorach prawdopodobieństwa: nie będzie więcej chleba dla Polaków, starczą ziemniaki; nałożono takie kary na szmuglerów i tak świetnie obstawiono drogi, że nic się już więcej w pasku nie kupi; wszystkie mieszkania w miastach będą podlegały rekwizycjom; wyrzuca się od jutra wszystkie sklepy polskie z tej czy innej dzielnicy; będzie rekwizycja futer i wełnianych rzeczy. — Tysiące tego rodzaju nowin przesiąka przez "dobrze poinformowanych" lokatorów, którym "udało się" zobaczyć jakieś zarządzenia, czy pismo, lub afisz. Doświadczenie wykazało, że wiadomości te są szerzone celowo, jednocześnie w całym mieście i — najczęściej nie odpowiadają prawdzie.

Zwrócono raz uwagę młodej, pięknej pani niemieckiej, żonie wybitnego przemysłowca, żeby oszczędzała 70-cioletnią staruszkę, u której mieszkała, ponieważ ciągła szarpanina nerwowa szkodzi jej na serce. W rozmowie tej padła ze strony polskiej uwaga, że takie postępowanie jest niedelikatne. Odpowiedź pani dyrektorowej brzmiała: *"Ob Sie das delikat finden oder nicht, ist mir Wurst"*.

Inna kobieta, urzędniczka, zostawiała na czas swej nieobecności radio nastawione na najgłośniejszy ton i zamykała drzwi na klucz. Miesiącami całymi huczały nad głowami nieszczęsnej polskiej rodziny prorocze słowa Führera, dyszkant Goebbelsa, zwycięskie marsze, co godzinę *"Sondermeldung"*. Na prośbę o zamykanie piekielnej maszyny na czas nieobecności padła odpowiedź: "Nauczcie się słuchać Führera".

We wspólnym mieszkaniu łatwo można było zaobserwować, jak dobrze się powodzi Niemcom w podbitych krajach rolniczych. Wyładowane siatki niemieckich pań zawierały wszystko, co normalnie do życia potrzebne: najlepsze gatunki mięs, wędlin, drób, masło, jaja, ser, miód, nawet bakalie i południowe owoce, wszystko to wchodziło do racji niemieckiej ludności w Generalnym Gubernatorstwie. Brak było tylko herbaty i kawy. Oczywiście wszystko na kartki, ale w zupełnie wystarczających ilościach. Racje dla tych "walczących na wschodnich placówkach ekspansji" były znacznie wyższe, niż w samej Rzeszy.

W porównaniu z systemem angielskim są pewne obostrzenia dodatkowe: restauracje wydawały posiłki również na kartki, tytoń był zracjonowany /nawet żołnierze stali w ogonkach i otrzymywali po 3 papierosy dziennie/ i co najdotkliwsze, chleb od samego początku był wydawany na kartki i nawet niezbyt obficie. Cała maszyna żywnościowa funkcjonowała bardzo nieudolnie: Niemcy wystawali godzinami w ogonkach, w piekarniach brakło chleba, w mleczarniach mleka, to też mimo nadzwyczajnego uprzywilejowania ludności niemieckiej w stosunku do Polaków, a nawet do Niemców w Rzeszy, nasi niemieccy lokatorzy mieli bezustanne pretensje do losu, który ich rzucił do "dzikiego kraju".

—"Żebym ja musiała jeść taki ciemny chleb" — ciskała moja lokatorka bochenkiem o stół — "wyście wywołali wojnę, to żryjcie — *fressen Sie*".

Służąca moich znajomych próbowała kupić kalafior w niemieckim sklepie. Oburzone Niemkinie podniosły krzyk: "w naszym sklepie", "nasze jarzyny". Warszawska Kasia nie dała się przekrzyczeć: — "A cóżeś to pani przywiozła ten kalafior z Berlina?" Odpokutowała biedna tę dokumentację polskiego pochodzenia kalafiora wywiezieniem na roboty do Niemiec.

Do racji niemieckich należały również zacne porcje "czystej". Ten produkt polskich pól wywoływał jednogłośny entuzjazm konsumentów. Trudno wprost opisać stan rozpijaczenia wszystkich bez różnicy stanowiska, płci, wieku przybyszów zza Odry. Gdy po trzech miesiącach wracałam do mieszkania, w którym przebywało trzech oficerów, piwnica była dosłownie do sufitu zawalona pustymi butelkami. Oficer S.A. stawiał sobie wieczorem przy łóżku litrową butelkę czystej, rano leżał z ręcznikiem na głowie — butelka była pusta. Inżynier, Wiedeńczyk, nie potrzebował kieliszka, stawał przy oknie, bulgocząc wprost z butelki. Miał do polskiej "czystej wyborowej" liryczny stosunek, ugruntowany na tradycji rodzinnej. Ojciec jego, jako kolejarz w dyrekcji wiedeńskiej, zawsze przywoził "czystą" z Krakowa. Młoda, mieszkająca u sąsiadów panna robiła bolę z litra wódki na truskawkach i wypijała to z dwiema koleżankami na jednym posiedzeniu.

Całe życie Niemców w Polsce układa się według zasady: "wszystko nam wolno". Demoralizacja sięga tak głęboko, że nie widzi się nic zdrożnego, że zaginęła już nawet świadomość nadużycia. Niemcy, których miałam sposobność obserwować, nie uznawali żadnych hamulców w życiu seksualnym. Urzędniczki mieszkające w moim domu, przyjmowały kilku mężczyzn jednej nocy. Dwukrotnie zastrzelono w tym samym domu nie w porę przychodzącego męża, lub kochanka. Starsza czterdziesto kilkoletnia kobieta z Tyrolu, chodząca do pracy w stroju ludowym, miała przy sobie troje małych dzieci, każde z innego ojca, a mieszkała z dziećmi w jednym pokoju, już z następnym w kolei *"Schatzem"*.

Oficer, który mieszkał u mnie, odznaczał się bardzo sentymentalnymi uczuciami rodzinnymi. Na biurku stała gabinetowa fotografia żony, tęskniącej w Berlinie, wraz z dwojgiem wystrojonych na niedzielę dzieci. Wysyłał rodzinie rabowane w żydowskich sklepach wiktuały i jedwabie, pisywał i otrzymywał kilometrowe listy. Dwunastoletni synek zapowiadał się bardzo obiecująco, bo dopytywał się w liście, "ilu tatuś zabił Polaków, myślę, że już chyba stu". Pan major przeczytał mi list z dumą, stwierdzając, że dziecko jest świetnie przez *Hitler-Jugend* wychowane.

Te przerosty uczuć rodzinnych nie przeszkadzały wzorowemu małżonkowi do sprowadzania omal że co noc innej panny. Gdy zniecierpliwiona ciągłymi żądaniami wymagających pań /kąpiele, świeża bielizna, posiłki/ zagroziłam doniesieniem do Urzędu Mieszkaniowego, przedsiębiorczy major wyrzucił żydowską rodzinę z sąsiedztwa i tam urządził sobie garsonierę, rekwirując na urządzenie część mebli z mego mieszkania. Gdy któregoś wieczora powiedziałam mu, że nie mam świeżej bielizny pościelowej, najpierw powyrzucał mi wszystko z szaf na podłogę, żeby stwierdzić, czy mówię prawdę, a następnie wyszedł na pięć minut z domu /była jedenasta wieczór/ i przyniósł kilka kompletów bielizny, puchową kołdrę i poduszkę. Stenotypistka i młody porucznik, który ją przyprowadził, zobaczywszy bohatera, wracającego z rabunku — mieli tylko jedną ocenę: *"Ah, der Meister"*.

Rodzina polska, która przypadkiem pozostaje w domu zamieszkałym przez Niemców, marzy o wyrzuceniu, jak o dniu zbawienia. Co wieczór wylatują we frontowych drzwiach szyby — to Niemcy wracają do domu, kopiąc w bramę zamiast dzwonka. Strzelanie do lamp, lub do stróża, podchodzącego dla otworzenia drzwi — to normalna zabawa. Od czasu do czasu rodzinna uroczystość w hallu: "germańskie wesele". Jednym z obrzędów jest rzucanie z najwyższego piętra szkła i porcelany. W dniu takim lepiej nie ryzykować przejścia przez schody. Gdy z kamienicy tej wywieziono na śmierć żydowską właścicielkę domu, wszyscy lokatorzy niemieccy solidarnie rzucili się do rabunku rzeczy, nie darowali nawet ziemniakom w piwnicy.

Odważni tylko w gromadzie, Niemcy boją się zresztą własnego cienia. Nigdy nie rozstają się z rewolwerami. W dzień na biurku pod ręką, w nocy na nocnym stoliku nabita broń strzeże niemieckiego zdobywcy przed . . . gospodynią i jej drobnymi dziećmi. Każdy alarm lotniczy jest radością dla Polaków. Wystarczy dźwięk syreny, aby Niemcy w bieliźnie pakowali się do aut i wystawali całe noce taborem za miastem. Polacy modlą się o bomby alianckie, któreby przepłoszyły trochę zbyt bezpiecznie zasiedziałych najeźdźców.

Niemcy w Gubernatorstwie, zdemoralizowani, przekupni, rozpijaczeni, zdziczali i tchórzliwi, są przez gnębioną przez nich ludność traktowani z nienawiścią i pogardą. Widzą oni sami moralną przepaść między sobą, a nami, podkreślają to bezustannie, że znajdują się wśród wrogów. Próbują złamać swych polskich współlokatorów codziennymi szykanami. Pułkownik armii niemieckiej zmuszał wdowę po profesorze, u której mieszkał, do noszenia mu na dworzec walizek, inny oficer rzucał pani, u której mieszkał, 30 groszy napiwku, wołając: — "Czas żeby się wam skończyła ta pańska ambicja".

Utarły się z dawniejszych widać czasów opinie o większej lub mniejszej przyzwoitości Niemców zależnie od pochodzenia, lub zajęcia. Wojskowi mieli być lepsi od gestapowców, Austriacy lub Bawarczycy od Prusaków. Wszystkie te legendy rozwiały się w polskiej rzeczywistości.

U znajomych moich mieszkał pijak-gestapowiec, który żywił szczególną nienawiść do pięknego, koncertowego Bechsteina, stojącego w salonie. Walił obcasami w pedały, rozbijał klawisze, wyszarpywał struny. Po paru tygodniach wyprowadził się, pozostawiając fortepian w opłakanym stanie. Następnym lokatorem był czarujący lekarz z Monachium. Oburzał się na poprzednika-wandala, prosił, aby mu pozwolono odnowić instrument. Grał na nim przepięknie Szopena, pani domu z trudem opierała się pokusie słuchania. Po dwóch tygodniach załadował fortepian na samochód i . . . wyjechał, dokumentując tym różnicę między kulturalnym i niekulturalnym Niemcem.

Nie ma Niemców lepszych i gorszych, uczciwych i nieuczciwych. W stosunku do Polaków wszyscy są tą samą wyzwoloną bestią — wrogiem, który ma jeden cel: upokorzyć, zgnębić, zadręczyć i zniszczyć.

MARIA BRZESKA

Rysunek satyryczny z pisma konspiracyjnego: "Tygodnik Informacyjny"

* Por. poprzednie artykuły cyklu: "Powszedni dzień terroru" druk. w nr. 6, "Życie ulicy" druk. w nr. 7, "Wobec wydarzeń wojennych", druk. w nr. 8, "Dziecko i matka" druk. w nr. 10, "Kobieta w walce" druk. w nr. 11, "W domu" druk. w nr. 13 "Polski Walczącej" z b.r.

Archiwum Polskich Sił Zbrojnych

Wśród zielonych wzgórz, schowany między starymi drzewami, stoi szkocki dworek, w którym na czas wojny znalazło schronienie Archiwum Polskich Sił Zbrojnych.

W pracowni kierownika panoszy się jasne słońce, którego świeży blask pada na ściany pokoju obwieszone starymi mapami Rzeczypospolitej. Są to — jak się dowiaduję — niedawne nabytki pracowicie wyszperane w londyńskich i prowincjonalnych antykwarniach, wydane za granicą, a więc niepodejrzane o "stronniczość."

Oto n.p. karta Polski z r. 1814, wydana przez Cadell and Davies pod patronatem *Royal Society at London and the Royal Society at Paris*. Ciemną wyraźną smugą oznaczone są granice: wschodnia przechodzi tuż za Kijowem, a dalej ku północy wybiega daleko poza Mińsk i Bobrujsk. To "Linia Grzymułtowskiego," oznaczająca kres długiego szeregu walk i ustępstw terytorialnych na rzecz Rosji, obwarowana uroczystym traktatem "wieczystego pokoju."

Jest i druga mapa, wydana w Amsterdamie, również już po rozbiorach Rzeczypospolitej. A jednak nie uwzględniono na niej niczyich grabieży, nie uznano żadnych "faktów dokonanych." Inne widocznie były czasy.

Ta sama historia, a raczej geografia, powtarza się i na innej karcie, wydanej w Londynie przez panów *Richarda Chiswell in St. Paul's Churchyard and Thomasa Basset, Fleet Street*. Gdyby tak dzisiaj pójść na *Fleet Street* i w tym królestwie prasy brytyjskiej zwołać jakieś wielkie zebranie "editorów," którego głównym punktem byłaby "prezentacja" tej sędziwej mapy, jakież powstałoby zamieszanie i konsternacja! Ale może wpłynęło by to na zmianę niektórych zbyt "realistycznych" poglądów? Może pewne organy prasowe, ogłaszające linię traktatu ryskiego za wyraz zaborczości polskiego imperializmu, zmieniłyby pod wpływem tych historycznych dokumentów swój sąd arbitralny? Nie wiadomo. Ale właśnie dlatego trzeba pilnie gromadzić mapy, przedstawiające nierozkawałkowaną Polskę, wydane w Amsterdamie i na Fleet Street w Londynie.

Od tych starych map rozpocząłem zwiedzanie Archiwum Polskich Sił Zbrojnych. Od map i rozmowy z kierownikiem, który prowadzi szybko rozwijającą się placówkę w Szkocji, wierząc niezłomnie, że powierzone mu skarby dowiezie szczęśliwie do Warszawy.

Dowiedziałem się tedy, że na całość zbiorów składają się trzy działy:

a/ Archiwalny, który gromadzi i przechowuje wszelkie dokumenty, dotyczące organizacji Polskich Sił Zbrojnych na obczyźnie. Dla historyków będą one stanowiły źródło bezcenne, a niezależnie od tego staną się niezbędne do użytkowego wyzyskania przy ustalaniu lat służby żołnierzy, odznaczeń i t.p.

b/ Dział Muzealny ma na celu zebranie, uporządkowanie i zabezpieczenie wszelkich pamiątek, związanych z polskim wysiłkiem zbrojnym na emigracji; jeśli idzie o spełnienie zadania propagandowego wobec naszych sojuszników brytyjskich, pomoc, jaką oddają naszej sprawie te zbiory jest już dzisiaj bardzo poważna.

c/ Trzecim wreszcie "referatem" Archiwum jest biblioteka, której szybko pomnażające się zasoby staną się kapitałem zakładowym przyszłej Centralnej Biblioteki Sił Zbrojnych w Warszawie.

Na razie jednak w Warszawie rządzi wróg. Gmach, w którym mieściło się Wojskowe Biuro Historyczne, zniszczony. Akta archiwalne wywieźli Niemcy, wiele bezcennych pamiątek przepadło na zawsze po rozgrabieniu Muzeum Wojska; jeśli nawet jakąś drobną część zdołały ocalić od zniszczenia troskliwe ręce polskie, to są to chyba znikome resztki bogatych niegdyś zbiorów. Natomiast sporą część najważniejszych wojskowych dokumentów archiwalnych /kilkanaście skrzyń/ wywieziono z Polski przed zakończeniem działań wojennych; dziś zbiory te ulokowane są bezpiecznie, stanowiąc nieocenioną skarbnicę najpoważniejszych materiałów.

Początki obecnego Archiwum były niezmiernie skromne, warunki pracy trudne. Nieliczne zbiory, przywiezione z Francji, pomieszczono w Archiwum Sztabu Naczelnego Wodza w silnie podówczas bombardowanym Londynie; pierwszy kierownik placówki major Waligóra zginął od bomby niemieckiej. Energia ludzi doceniających wagę i znaczenie Archiwum dla przyszłości dokonała tego, że zbiory przeniesiono do Szkocji, tam zorganizowano niewielką gromadkę ludzi, którzy całą swoją wiedzę i wielkie umiłowanie pracy oddali na usługi placówki. Trwałą formę organizacyjną otrzymało Archiwum z początkiem r. 1942, kiedy weszło w skład Gabinetu Naczelnego Wodza. Obecnie posiada swój etat i niewielki budżet. W okresie powstawania placówki wielką pomoc i życzliwość okazały resorty cywilne, współpraca z którymi rozwija się stale, oparta na wzajemnym zaufaniu i porozumieniu.

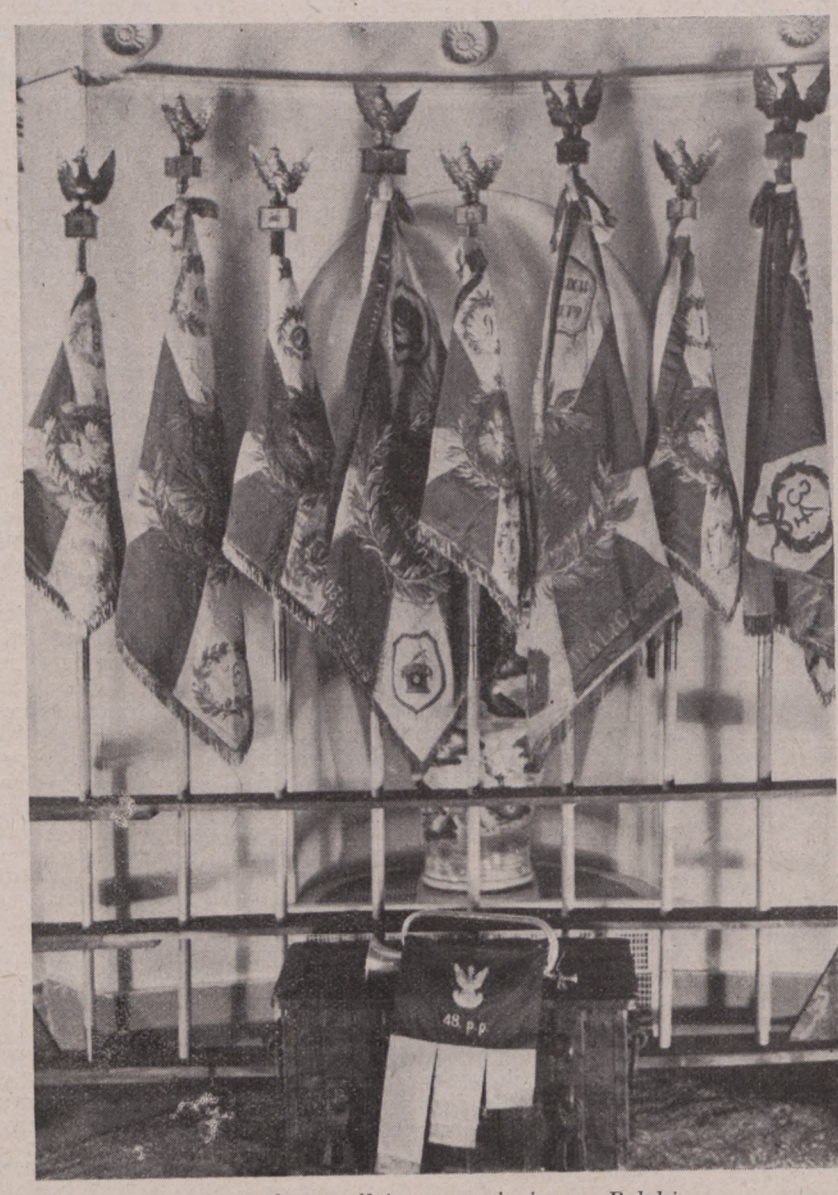

Sztandary pułków przywiezione z Polski

Od chwili przeniesienia do Szkocji Archiwum sąsiaduje z kwaterą polową Naczelnego Wodza, a jego pracownicy opiekują się równocześnie pamiątkami, które się tam znajdują.

Po zdobyciu tych informacji udałem się wraz z kierownikiem na zwiedzanie, zaczynając od działu archiwalnego. W kilkudziesięciu solidnych skrzyniach, niezwykle dokładnie i przejrzyście uporządkowane, leżą papiery i dokumenty; rzeczy tajne lub szczególnie ważne przechowuje się w specjalnie zabezpieczonych metalowych kasetach. Porządkowanie i stałe kompletowanie w tym dziale to rzecz żmudnej, benedyktyńskiej zaiste, pracy. Nie może tu być mowy o urzędowym załatwianiu "kawałków"; konieczne jest umiłowanie warsztatu pracy i rzetelna, fachowa wiedza.

Niezależnie od pracy we własnym ośrodku kierownicy wszystkich działów Archiwum Polskich Sił Zbrojnych obowiązani są pomagać i służyć radą podobnym placówkom na Bliskim Wschodzie oraz biurom historycznym Marynarki Wojennej i Polskich Sił Powietrznych.

Niezwykle bogaty i wzorowo uporządkowany /kartoteka/ jest dział fotograficzny, zawierający kilka tysięcy zdjęć z życia wojska, zebranych dosłownie z całego świata, które już dzisiaj oddają znaczne usługi w akcji propagandowej.

Nie mniej kompletny jest dział prasy żołnierskiej. Są tu roczniki wszystkich czasopism od prymitywnych, odbijanych na powielaczu biuletynów, czy przepisywanych na maszynie gazetek ściennych do starannie redagowanych i bogato ilustrowanych wydawnictw. Słusznie pomieszczono tu także pisma żołnierzy Polski Podziemnej, prasę tajną, ukazującą się w Kraju.

Głębokie wzruszenie ogarnia każdego, kto patrzy na te skromne, niewielkiego formatu kartki "Sprawy," "Życia Polski" czy "Insurekcji," drukowane pod grozą nieustanną śmierci wiszącej zarówno nad członkami redakcji, drukarzami, kolporterami jak i czytelnikami. Z tych małych stroniczek bije nieustępliwa chęć walki aż do zwycięstwa i wiara żarliwa, nieupadająca wśród najcięższych nawet przeciwności.

Podobnych uczuć szacunku i podziwu doznaje się także przy oglądaniu ręcznie przepisywanej i ozdabianej gazetki dywizji polskiej, sformowanej w Rosji. I tam także praca redakcyjna musiała się odbywać raczej w niecodziennych warunkach. Angielski karykaturzysta, który narysował Polaków, drukujących gazetę pod biegunem nie był daleki od prawdy. Może by się ów pan zdziwił zobaczywszy na jednej ze stronic gazety taką adnotację: "*Szósta kartka tej gazetki została porwana przez burzę śnieżną z namiotu w Kołtubance w nocy* 8 *grudnia* 1941."

Przeszedłem z kolei do zwiedzenia muzeum, otrzymawszy na wstępie wyjaśnienie, że większość pamiątek jest zapakowana. Ale i to, co pozostało w gablotach przedstawia się bardzo pokaźnie i oryginalnie. Zbiory te nie mają w sobie nic z patyny starożytności czy nieco nudnego dostojeństwa, mimo że znajdują się tu rzeczy, których nie brak w innych muzeach: mundury różnego rodzaju, kolekcja odznak polskich i brytyjskich, zbiory orderów i monet, nie te rzeczy bowiem są istotne. Stokroć silniej do wyobraźni i uczucia przemawiają inne pamiątki, czasem drobne, niepozorne przemioty . . .

Oto n.p. duży arkusz papieru, na którym ołówkiem nakreślono jakieś linie, oznaczono jakieś punkty. To mapa sporządzona przez oficera nawigacyjnego O.R.P. "Orzeł," przy pomocy której polski okręt podwodny pozbawiony przyrządów nawigacyjnych odbył legendarną podróż z Bałtyku do brzegów brytyjskich. Albo legitymacja marynarza z "Garlanda" przebita dużym odłamkiem niemieckiej bomby, który zgasił młode życie polskie. To już nie "eksponat" muzealny, ale relikwia. Obok wypolerowana łuska pocisku armatniego, wystrzelonego z "Pioruna" do "Bismarcka" z kunsztownie wyrytą trasą pościgu za tym pancernikiem i datą spotkania. Jest i mapa lotnicza, kreślona ręką nawigatora na kursie lotu operacyjnego nad Bremę czy Essen samolotu polskiego, noszącego wdzięczne imię: "Zośka."

Powiększa się stale dział pamiątek, przywiezionych z Rosji: z obozów jenieckich, z "lagrów," "posiołków" lub wreszcie z obozów Wojska Polskiego. Olbrzymia mapa Z.S.R.R. z zaznaczonymi głównymi miejscami skupienia polskich wygnańców stawia przed oczy ogrom naszego rozprószenia na tych bezkresnych obszarach. O warunkach życia dają pojęcie ubogie obrazki Matki Boskiej, krzyżyki, różańce, orzełki prymitywnie wycinane z blachy, wreszcie karty do gry — niezbędny rekwizyt życia towarzyskiego w więzieniu — malowane kolorową kredką na kartonikach pudełek od zapałek. Wszystkie przedmioty, nie pozbawione mimo swej nędzy, zalet artystycznych zrobiono z najprostszych materiałów: kości ryb, włosienia, skrawków blachy czy papieru, z kamienia i bardzo podobnego do niego . . . więziennego chleba.

Nie wszystkie eksponaty zostały ofiarowane do Muzeum; jest i trochę zdobycznych: pistolet automatyczny po Niemcach w kampanii norweskiej, zeissowskie szkła polowe, jakiś precyzyjny celownik z moździerza. Są także ulotki, zrzucane z samolotów niemieckich na stanowiska Brygady Podhalańskiej wzywające w straszliwie zaszwabionej polszczyźnie, aby "strzelce górskie," porzuciwszy broń, przechodzili na stronę nieprzyjaciela; jest dyplom "żelaznego krzyża," nadanego jakiemuś Fritzowi za kampanię w Polsce, a wystawiony w październiku 1939 roku w Dubiecku!! Nie spodziewał się prawdopodobnie Niemiec, że w pół roku później wyprawią go do Walhali pod Ankenes kule tych samych rozbitych doszczętnie, "skończonych" Polaków.

Nie braknie ilustracji także weselszej strony życia żołnierskiego: reprezentują ją przeważnie karykatury /doskonałe są zwłaszcza "kartony" spadochroniarzy/, dzieła zarówno mniej znanych ogółowi rysowników, jak i majstrów, takich jak Walentynowicz.

Niemałej pracy wymaga utrzymanie w porządku "ewidencji" zbiorów. Wszystkie pamiątki są szczegółowo, metodycznie opisane, zarówno te, które stanowią własność muzeum, jak i bardzo liczne depozyty żołnierskie. Gruba księga zawiera dokładną "metrykę" każdej najdrobniejszej rzeczy oddanej na przechowanie. I dlatego może będzie właściwe na tym miejscu powtórzenie serdecznego apelu "załogi" Archiwum Polskich Sił Zbrojnych, skierowanego do Wszystkich o współpracę i powiększanie zasobów placówki. Składajcie więc pamiątki wojenne do Archiwum! Kto może niech je ofiaruje, komu trudno się z nimi rozstać, niech złoży jako depozyt, który zostanie przewieziony do Polski i na żądanie zwrócony właścicielowi.

Jest jednak w muzeum coś, co specjalnie uwagę przykuwa: sztandary. Są tu chorągwie organizacyj i stowarzyszeń społecznych z Polski i terenów przedwojennej emigracji wśród nich sztandar związkowy, ofiarowany przez Polonię Ameryki Południowej ochotnikom zaciągającym się do służby w wojsku polskim, są proporce pamiątkowe różnych formacji i są wreszcie te najcenniejsze: znaki pułkowe.

Długa i tajemnicą okryta była ich podróż na tę wyspę, podobnie jak dalekie, niebezpieczne i bardzo okrężne bywały szlaki, które tu przywiodły polskich żołnierzy. Historia każdego sztandaru jest drobiazgowo spisana, szczegóły te jednak nie mogą być obecnie ujawnione ze zrozumiałych względów. Kiedyś jednak dowiemy się rzeczy najbardziej porywających, poznamy epizody niebywałego przedsiębiorczego męstwa i wierności dla symbolu honoru wojska. Zaszywane w mundurach, ukryte bardzo przemyślnie przybyły na tę wyspę sztandary oddziałów, których nie ma wśród nas, o których bohaterskiej walce z najazdem nieprzyjacielskim doszły nas tylko wieści. Te znaki są więc posłaniem do nas, posłaniem od tych, którzy po boju sen znaleźli w mogiłach, od zamkniętych w obozach jenieckich w Rzeszy, od sposobiących się do walki w Kraju; mamy je przynieść nieskalane do Polski, nową sławą bojową okryte.

Ale zanim to nastąpi krzepimy nasze serca ich widokiem. Oto sztandar jednego z pułków mężnej 11 dywizji piechoty, który widział pogrom Niemców na przedpolu Lwowa i drugi z napisem: "*Leopolis semper fidelis*". Jeden sztandar wyróżnia się wśród innych przyblakłymi nieco barwami i śladami wilgoci, bowiem długo przeleżał w opuszczonej ziemi francuskiej zanim wierne ręce żołnierskie nie przeniosły go w bezpieczne miejsce. Ten sztandar wydobyty już został spod ziemi, ale wiele innych pozostaje jeszcze w ukryciu, oczekując dnia, w którym mocne ręce wyniosą je i postawią przed szeregami idących do walki ostatniej zwycięskiej.

Na obcej ziemi spełnia dzisiaj Archiwum Polskich Sił Zbrojnych nie tylko rolę troskliwego stróża polskich pamiątek narodowych, ale przez udostępnienie ich dopomaga wysiłkowi naszej propagandy. Z szacunkiem patrzą na zbiory obcy dziennikarze, z czcią oglądają polskie sztandary żołnierze i dyplomaci Zjednoczonych Narodów. Właściwe swe zadanie spełnią te zbiory dopiero w Polsce, gdy tysiące ludzi przychodzić będą aby oglądając je, wspominać ciężkie czasy niewoli, gdy zastępy młodzieży żyjącej w lepszych, szczęśliwszych czasach, tu będą poznawać wielką cenę wolności i uczyć się czynnej miłości Ojczyzny.

LUDWIK BOJCZUK

POLSKA AGENCJA DRUKARSKA

zawiadamia P. T. Klientów, że z dniem 1. kwietnia 1944 r. przenosi swoje biura do

52, HALTON HOUSE, 20-23, HOLBORN, E.C.1

tel. biurowy **CHAncery 77-47.**
tel. drukarni **Holborn 07-10.**

Szkic sytuacyjny

DALSZE POSTĘPY SOWIECKIE

W chwili pisania tych uwag — na kilka dni wcześniej aniżeli zazwyczaj, ze względu na bliską Wielkanoc i redakcyjne potrzeby pisma — armie sowieckie zajęły Kołomyję, wzięły Tyśmienicę i prą ku przełęczom karpackim. Postępy na skrajnym południu są może mniej wyraźne, po zdobyciu Mikołajowa, ale kierunek parcia jest wyraźny: Odessa. Ewakuacja Krymu, jak donoszą źródła neutralne, postępuje. Północ wykazuje najwięcej równowagi i tam niewiele się zmienia. Podobnie nie rusza się odcinek koło Prypeci. Południe dalej posuwa się i chociaż klin pod Tarnopolem na razie utknął, atak ku Karpatom jest dalej silny.

Strategia sowiecka wychodzi, zupełnie słusznie, z założenia, iż front rumuński jest najmniej ustalony, albowiem Rzesza stosunkowo późno zaczęła tam umacnianie się, że Rumunia nie jest w stanie nadmiernego optymizmu i że przeciwnie, panują tam prądy wrogie Niemcom i rządowi Antonescu, że przełęcze karpackie są niedawno może obstawione i że przedarcie się na Ruś Przykarpacką jest celowe. Nie od dzisiaj odbywa się nasycanie tego obszaru spadochroniarzami sowieckimi, podobnie jak odbywało się nasycanie terenu Prypeci i Kresów przez tych gości z nieba. Warunki pracy dla spadochroniarzy są na Rusi Przykarpackiej idealne.

Nic więc dziwnego, że wojska sowieckie forsują ten odcinek widząc wielkie możliwości. Zajęcie Węgier przez wojska niemieckie stanowi dla Rosjan dowód, że wojsko węgierskie jest słabego gatunku, że Rzesza nie ufa Węgrom i że trzymanie tego terenu nie może być nadmiernie mocne.

Dalsze postępy wojsk sowieckich będą regulowane dwoma czynnikami: *siłą niemieckiego oporu oraz warunkami pogodowymi*. Opór niemiecki na pewnych odcinkach jest dalej silny, a dowództwo sowieckie, wyczuwając większy opór w tym czy innym punkcie przerzuca działania na mniej broniony odcinek. Akcje sowieckie mają w pełni charakter "płynny". Podobnie i obrona niemiecka dalej stosuje uniki. Dlatego też zapewnienia komentatorów niemieckich, że na Wschodzie doszło do stabilizacji frontu, nie odpowiadają prawdzie. Stabilizacja jest pojęciem obcym samej istocie działań. Istnieją dwie możliwości: albo Rosjanie będą iść dalej a Niemcy cofać się, albo też Niemcy przejdą do przeciwuderzenia. Ale tej drugiej możliwości nie widać.

NA POŁUDNIU DALEJ TRUDNO

Akcje we Włoszech nie wykazują większego postępu. Przeciwnie, pod Cassino wojska dominialne, głównie indyjskie, wycofały się ze wzgórza o ponurej nazwie *Hangman's Hill*, które góruje nad zniszczonym klasztorem i opactwem Cassino. Na łamach *"Daily Mail"* pojawił się artykuł, który tłomaczy dlaczego bombardowania Cassina nie dały spodziewanego wyniku. Pismo zaznacza, że zniszczenie lotnicze było — za wielkie i że wybuchy bomb wyrwały tak straszliwe kratery i dziury w terenie, iż czołgi nie mogły w ogóle działać. *"Daily Mail"* dochodzi do wniosku, że przewaga lotnicza raczej zaszkodziła aliantom . . .

Jakkolwiek rzeczy się mają, to jasne jest, że działania we Włoszech przynoszą duże rozczarowania i że opinia brytyjska jest poważnie zaniepokojona ich przebiegiem.

JAPOŃCZYCY ATAKUJĄ INDIE

Wojska japońskie przedarły się przez granice Birmy. Jest to próba na razie jeszcze nieśmiała, ale nie mniej przysparza ona dowództwu sojuszniczemu kłopotów.

Premier brytyjski czując, jak ważny jest front Dalekiego Wschodu, w ostatnim przemówieniu przez radio dał wyraz swojej trosce o te zagadnienia i zaznaczył, że W. Brytania spełni swoje obowiązki na tym obszarze. Jakkolwiek pochód japoński został zatrzymany, to jednak nie można powiedzieć, ażeby na Dalekim Wschodzie uzyskano już takie stanowiska, któreby przesądzały o szybkiej klęsce Japonii. Raczej należało by wnioskować, że Japonia chce iść na przetrzymanie i na przeciąganie wojny. Ma ona cykl stanowisk bardzo dobrych, nadmiar surowców. Jeżeli jej linie komunikacyjne zostaną zagrożone, to ma to jeszcze na pociechę, że pewne obszary mogą się bronić samodzielnie i że przy jej systemie obrony i przy twardości japońskiego żołnierza można utrzymać się na pozycjach pozornie beznadziejnych.

Z tych wszystkich przesłanek zdaje sobie obecnie sprawę opinia amerykańska, która przestała traktować Japończyków jako rzecz godną pogardy. Przeciwnie, docenia ona dzisiaj wielkie walory bitewne Japończyków, zdaje sobie sprawę z siły japońskiego lotnictwa i floty Nipponu. Złamanie Japonii będzie ciężkim zadaniem. Zacznie się ono niewątpliwie od kruszenia potęgi morskiej Japonii i przecinania japońskich linii komunikacyj i połączeń. Potem zapewne sojusznicy przejdą do niszczenia japońskiego lotnictwa.

Odbijanie jednego stanowiska po drugim byłoby zadaniem na lata. Dlatego też strategia sojusznicza pójdzie przypuszczalnie na takie wykruszenie stanowisk japońskich, ażeby dobrać się do wysp japońskich i ażeby porazić Japończyków z morza i powietrza.

Do tych wszystkich działań sojusznicy przygotowują się bardzo starannie i można przypuszczać, że *jeszcze w tym roku, po dopełnieniu wstępnych zadań pomocniczych przy inwazji, flota obu mocarstw ruszy na Pacyfik i zacznie dawać się we znaki Japończykom.*

PO MOWIE CHURCHILLA

Mowa radiowa premiera brytyjskiego skierowana była częściowo do narodu amerykańskiego — szczególnie w tych partiach, w których mówiła o Dalekim Wschodzie — częściowo zaś do narodu brytyjskiego. W poważnej swojej części mówiła ona o zadaniach powojennych, co dowodziło, że interesują one bardzo żywo ogół angielski, że zagadnienia społeczne będą stanowić po wojnie główny może temat zaciekawienia ogółu brytyjskiego.

Przyjęcie mowy premiera było może mniej gorące tym razem, aniżeli dawniej, co jest zrozumiałe, jeżeli się zważy, że oczekiwano od niej pewnych wielkich rzutów szczególnie w dziedzinie polityki międzynarodowej. W przede dniu inwazji oczekiwano od premiera brytyjskiego ujęcia tych właśnie spraw i pewnego planu. Być może, że otrzymamy go w innym przemówieniu. Potrzeba tego rodzaju sformułowania narzuca się sama. Głosy prasy neutralnej o mowie premiera brytyjskiego przekonują każdego, że Europa czeka na słowo Anglii bardzo niecierpliwie.

Sytuacja rządu brytyjskiego jest po głosowaniu nad *Education Bill* raczej paradoksalna, albowiem premier postawił sprawę zaufania. Izba da zapewne rządowi to votum zaufania, jakkolwiek jest właśnie paradoksem, że do starcia między rządem a parlamentem doszło na temat tak pozornie błahej sprawy. Tak już jednak bywa w polityce, że drobne pozornie sprawy rozpętują wielkie burze i że nie ma w polityce właściwie spraw drobnych. Churchill stawia rzeczy na ostrzu miecza.

Nie wiemy, jak rozwiną się dalej te boje i starcia, ale pierwsza porażka rządu od chwili jego powołania w tragicznym maju roku 1940-ego dowodzi, że napięcie jest duże i że poważna część ogółu angielskiego żywi niezadowolenie z tego czy innego powodu.

Kryzys może dotknąć kierownictwo spraw zagranicznych. Pogłoski o ustąpieniu ministra Edena ucichły, ale nie mniej minister spraw zagranicznych został zmuszony do pewnego rodzaju odwrotu. Jego przemówienia wygłaszane ostatnio na rozmaitych zebraniach, podobnie jak w Izbie, dowodzą, że chciałby on podeprzeć jednak pewne słupy i filary, które zaczęły się walić.

Niezadowolenie z przebiegu polityki brytyjskiej jest wyrażane coraz powszechniej. Sprawa Turcji, Finlandii, kwestia Badoglia — oto cytowane często przykłady porażek dyplomatycznych W. Brytanii. W tych warunkach wołania o śmielszą politykę zagraniczną mnożą się. Rok bieżący będzie świadkiem takiej właśnie walki o politykę zagraniczną.

Polityka USA również jest pod coraz silniejszym obstrzałem opinii amerykańskiej. Cordell Hull podniósł zagadnienia organizacji międzynarodowego bezpieczeństwa. Prasa naciska co raz wyraźniej, ażeby Stany Zjednoczone określiły lepiej swoje pozycje. Zaniepokojenie to dowodzi, że opinia amerykańska rozumie, iż nie można prowadzić wojny bez wyraźnej polityki zagranicznej i że USA mają do spełnienia poważną rolę. Czołowy pisarz polityczny USA Walter Lippmann powiedział ostatnio, że "albo Amerykanie będą mieli coś do powiedzenia we wszystkich sprawach świata, albo też zepchnięci zostaną do roli obserwatorów i dojdą do wniosku, że lepiej trzymać się z dala od spraw świata, szczególnie zaś od spraw Europy".

Jest to oczywista groźba izolacjonizmu i trzeba sobie zdać sprawę, że istnieje ona niewątpliwie. Może ona zaś powstać właśnie na tle bierności polityki amerykańskiej. Już nie od dzisiaj pojawia się w prasie amerykańskiej prąd, który woła o ustalenie polityki i o zachowanie *leadershipu* w dziedzinie polityki zagranicznej. Woła się, że jeżeli USA nie będzie miała takiej polityki, to będziemy świadkami podobnego zjawiska, jak po wojnie poprzedniej, kiedy to Stany po przyczynieniu się do pobicia Rzeszy i wygrania wojny, ustąpiły z teatru politycznego. Powołały one do życia Ligę Narodów i nie wzięły udziału w organizowaniu pokoju świata.

Te wszystkie głosy dowodzą, jak doniosła jest rola polityki w tej wojnie i że wojny tej nie można będzie wygrać bez polityki. Podbój i przewagi militarne nie stanowią o wygraniu wojny. *Tylko świadoma polityka tworzy podstawy wygranej wojny i pokoju.*

Londyn, dnia 30-ego marca 1944

ZBIGNIEW GRABOWSKI

Z tygodnia na tydzień

24 marca: W Moskwie ogłoszono o zajęciu Czortkowa, Husiatynia i Zaleszczyk na ziemiach polskich oraz Woźniesieńska nad Bohem.

—Lotnictwo amerykańskie z baz w W. Brytanii bombardowało b. silnie za dnia Frankfurt nad Menem.

—W nocy z 23/24 polski dywizjon bombowy patrolował nad Zatoką Biskajską. Wszystkie załogi powróciły.

—Wojska niemieckie odbiły część m. Cassino, we Włoszech, znajdującą się w rękach Sprzymierzonych.

25 marca: W nocy z 24/25 lotnictwo brytyjskie b. silnie bombardowało Berlin. W nalocie brało udział około 1.000 bombowców. Zrzucono 2.500 ton bomb. 73 bombowce nie powróciły z tej wyprawy. Była to druga co do wielkości najwyższa liczba strat lotnictwa brytyjskiego podczas jednej wyprawy.

—W nocy z 24/25 lotnictwo niemieckie silnie bombardowało Londyn. Zrzucono bomby zapalające i kruszące.

—Ogłoszono, że Naczelny Wódz gen. broni K. Sosnkowski w towarzystwie wyższych oficerów polskich przybył na teren Włoch, celem przeprowadzenia inspekcji II Korpusu, znajdującego się na froncie.

—W Moskwie ogłoszono o zdobyciu Płoskirowa przez Armię Czerwoną. Kamieniec Podolski został okrążony przez wojska sowieckie.

—W nocy z 24/25 polski dywizjon bombowy patrolował nad zatoką Biskajską. Wszystkie polskie załogi powróciły.

—Polski dywizjon lekkiego bombardowania przeprowadził bombardowanie nakazanych celów na terenie nieprzyjacielskim. Po wykonaniu zadania wszystkie samoloty polskie powróciły.

26 marca: W Moskwie ogłoszono, że wojska sowieckie zajęły Bielce w Besarabii oraz dotarły do Prutu na froncie długości 85 km. Walki toczą się na ulicach Tarnopola. Zajęto na ziemiach polskich: Złotniki, na płd. zach. od Tarnopola i Kozłów na zach. od Tarnopola.

—Premier Churchill przemawiał przez radio.

—W nocy z 25/26 polski dywizjon bombowy patrolował nad Zatoką Biskajską. Wszystkie polskie załogi powróciły.

27 marca: W nocy z 26/27 polski dywizjon bombowy patrolował nad Zatoką Biskajską. Jedna z załóg polskich została zaatakowana przez dwa samoloty nieprzyjacielskie. Polacy zestrzelili jeden z tych samolotów.

—W Moskwie podano, że Kamieniec Podolski został zajęty przez wojska sowieckie. Na terenie Polski zajęte zostały: Złoty Potok, monasterzyska, Koropiec i Horodenka.

—W nocy z 26/27 lotnictwo brytyjskie bombardowało b. silnie Essen. Był to pierwszy nalot na Zagłębie Ruhry po dłuższej przerwie.

28 marca: W Moskwie ogłoszono, że wojska sowieckie zajęły Mikołajów. Na terenie Polski zajęto Gwoździec, na płn. wsch. od Kołomyi.

29 marca: W Moskwie ogłoszono o zajęciu Kołomyi w Polsce. Czerwona armia przekroczyła Prut.

—Ogłoszono, że Naczelny Wódz, gen. broni K. Sosnkowski przybył do m.p. II. Korpusu na froncie włoskim.

30 marca: W Moskwie ogłoszono, że wojska sowieckie zajęły Czerniowce oraz następujące miejscowości w Polsce: Nadwórna, Tłumacz, Obertyn, Zabłotów i Delatyn.

Wojna na morzu

TESTAMENT PIOTRA WIELKIEGO

Historycy dotychczas nie są zgodni, czy t.zw. testament Piotra Wielkiego był rzeczywiście wolą i wskazówką największego z carów, czy też jest to tylko wyraz wspólnej ideologii politycznej, która od czasów Piotra kierowała myślą władców Rosji. Faktem jest, że poza drobnym odstępstwem za czasów Mikołaja II, a z podstępnej namowy Wilhelma II — cała polityka Rosji szła w dwóch kierunkach morskich: ku wylotom Bałtyku i ku wylotom Morza Czarnego.

Sund i Bosfor, względnie Kattegat i Dardanele, były punktami docelowymi w wielu posunięciach politycznych i militarnych. Przeważał kierunek południowy, na osi Carogród — Malta. Przecież Paweł I obraził się na Anglię, bo nie chciała mu oddać tej właśnie Malty. W r. 1801 trzeba było wysłać Nelsona na Bałtyk, aby zmusić "koalicję północną" rosyjsko-duńsko-pruskoszwedzką do uległości. Flota rosyjska wycofała się wówczas z Rewla do Kronsztatu i ofiarą padli . . . Duńczycy. Ale jasne było, że mężowie stanu Rosji patrzeli na Kopenhagę jako na drugi Carogród.

Na Morzu Czarnym słaba pozycja turecka została złamana ogniem i mieczem. Na Bałtyku, po zwycięskiej wojnie ze Szwecją, Rosja panowała wszechwładnie, bo Prusy początków XIX-go wieku nie mogły się z nią mierzyć. Dopiero wojna krymska przyhamowała wykonanie "testamentu", już bliskie urzeczywistnienia: flota Mikołaja I została zniszczona pod Sewastopolem lub na Alandach i zablokowana w Zatoce Fińskiej.

Odrodziła się jednak dość szybko, aby już za Aleksandra II odegrać wybitną rolę polityczną w stłumieniu Powstania Styczniowego. Eskadry Łochwickiego i Popowa, wysłane do Ameryki, zburzyły koalicję pro-polską, mozolnie tworzoną przez Napoleona III. Turcy zostali znów pobici i tylko interwencja dyplomatyczna powstrzymała Rosjan od zajęcia Konstantynopola.

Wilhelm II, chcąc zyskać Bałtyk dla Niemiec i uczynić go "pepinierą" swej *"Hochseeflotte"*, wplątał Rosję w awanturę na Dalekim Wschodzie. Jego historyczny sygnał — "Admirał Oceanu Atlantyckiego pozdrawia Admirała Oceanu Spokojnego" — był dość wymowny: Bałtyk, Morze Północne i Atlantyk dla Niemców — wody japońskie i chińskie dla Rosji. Wiadomo jak Rosja na tym wyszła.

Dzięki ruinie floty carskiej Niemcy zapanowali na Bałtyku. Na Morzu Czarnym dyplomacja Zachodu izolowała przestarzałe okręty rosyjskie. Pierwsza wojna światowa nie zmieniła tego stanu rzeczy, bo nieudolność carskich dowódców, a potem rewolucja — wykończyły marynarkę rosyjską. Dopiero w r. 1928 podjęto ponownie jej odbudowę.

I przyznać trzeba, podjęto z dużym rozmachem, pozostawiając czynnikom fachowym olbrzymią, jak na warunki sowieckie, samodzielność. O ile w Rosji carskiej różni generałowie wtrącali się do spraw morskich i traktowali flotę jako przedłużenie frontu lądowego, o tyle późniejsza "flota czerwona" posiadła dużą niezależność organizacyjną. W chwili wybuchu wojny wykazała swą wartość.

Dziś, gdy z Moskwy wyszła sugestia powiększenia "floty czerwonej" kosztem włoskiej, czy nawet, jak prasa tutejsza twierdzi, kosztem innych Aliantów, testament Piotra Wielkiego ponownie przychodzi na myśl. Oświadczenia Moskwy na temat Królewca, Grecji czy Jugosławii, zdają się to potwierdzać. Mylą się bardzo ci, co sądzą, że Rosja zadowolni się Murmańskiem i w ostateczności Hangö . . .

I znów musimy stwierdzić, że Piotr Wielki z dzikiego państwa moskiewskiego stworzył — *dzięki oparciu o morze i flotę wojenną* — wielkie imperium, akurat w chwili, gdy Polska, zaniedbawszy ostatecznie spraw morskich — zaczęła "jeść, pić i popuszczać pasa". Niepomna słów biskupa Solikowskiego, że "kto morza zaniedba a nie broni, lub obcym oddawa, ten z wolnego niewolnikiem się staje, z bogatego ubogim".

WOJNA PODWODNA

5 kanonierek eskortowych */sloops/* pod dowództwem kmdra Walkera zatopiło w bitwie na Atlantyku 6 niemieckich okrętów podwodnych. Kanonierka "Woodpeaker" została w walce tej storpedowana i po 8 godzinach holowania zatonęła wskutek uszkodzeń. Tylko jeden członek załogi był ranny. Uratowano też poprzednio wziętych do niewoli Niemców z zatopionego okrętu podwodnego. Konwój przeszedł szczęśliwie.

Mimo szumnych zapowiedzi Doenitza, nie widać, aby nowa faza kampanii podwodnej przyniosła Niemcom jakiekolwiek strategiczne rezultaty. Ilość zatopień spadła mimo wzrostu ruchu handlowego i przewozu olbrzymiej ilości wojska i sprzętu na różne teatry operacyjne sprzymierzonych. Okręty podwodne Doenitza będą miały jeszcze coś do powiedzenia w momencie inwazji, ale . . . z tym się w marynarkach sprzymierzonych liczą.

RUCH W KANALE

W ostatnich tygodniach ruch bojowy w Kanale la Manche wykazywał duże natężenie. Kontrtorpedowce, ścigacze, patrolowce, minowce, samoloty, a nawet działa z obu brzegów brały udział w "wymianie komplementów".

Po raidzie na Ymuiden, ścigacze sojusznicze niepokoiły wielokrotnie niemiecką obronę wybrzeża, docierając aż do wejść portowych w Boulogne, Calais, Ostendzie, Cherbourg'u. Poniosły przy tym pewne straty, ale dały się też we znaki nieprzyjacielowi. Ścigacze niemieckie, które zapędziły się między zachodni cypel wybrzeża Anglii /Land's End/ a wyspy Scilly, zostały przychwycone przez dwa kontrtorpedowce brytyjskie. Prawdopodobnie 3 ścigacze zostały zniszczone, reszta uciekła.

Działa brzegowe kilkakrotnie prowadziły swój dalekonośny pojedynek, przy czym zatopiono niemiecki transportowiec. A samoloty — poza normalnymi działaniami — zbombardowały doszczętnie port Ymuiden, aby sparaliżować działalność ścigaczy niemieckich. Czy im się to uda — *"that is the question"*? Przecież na "Scharnhorst", "Gniesenau" i "Prinz Eugen" dokonano w Brest coś 800 nalotów, a jednak . . .

POLSKIE OKRĘTY PODWODNE

Zawcześnie jeszcze na ujawnienie niektórych szczegółów, ale nie zadługo Czytelnicy "Polski Walczącej" będą mieli okazję poznać fragmenty kampanii O.O.R.P. "Sokół" i "Dzik" ze wspomnień czy reportaży pisanych nie przez ludzi z lądu, ale przez samych uczestników wyprawy. Przygoda w sieci, historia z balonem uwiązanym do dzioba /pytanie przestraszonego patrolowca: "Od kiedyto okręty podwodne chcą latać?/, bombardowania brzegów nplskich, branie abordażem mniejszych, a nawet średnich statków, pierwszy kontakt z Włochami po kapitulacji, wyprawa na port Pola — wszystko to są momenty epickie, których, bez przesady, uczyć się będą w przyszłości pokolenia.

Nie brak będzie i momentów szczerze dramatycznych, jak długotrwałe obrzucania naszych okrętów bombami głębinowymi, w czasie których załoga nieraz stała w wodzie, przeciekającej przez nieszczelny od wstrząsów kadłub . . .

Trudno tu . . . w Londynie . . . na łamach prasy rozwodzić się nad pełną poświęcenia służbą naszych podwodników, trwającą niezmordowanie od początku wojny, nie bez ofiar i strat. Wszystko, cobyśmy napisali wyglądałoby na szablon . . . Najlepiej, niech piszą oni sami. Nam niech wystarczą słowa Naczelnego Wodza, wypowiedziane z okazji dekorowania obu dowódców oraz wielu oficerów, podoficerów i marynarzy Krzyżami "Virtuti Militari", "Walecznych" i "Zasługi": — "Sokół" i "Dzik" dobrze zasłużyły się Ojczyźnie".

Załogom "Sokoła" i "Dzika", narówni z innymi okrętami Polskiej Marynarki Wojennej, "Polska Walcząca" składa serdeczne życzenia świąteczne: Alleluja!

JULIAN GINSBERT

Następny (16-ty) numer "Polski Walczącej" ukaże się w normalnej objętości dnia 20-ego kwietnia, z datą 22-ego.

HAVE YOU ANY SKIN TROUBLE ?
ST. JAMES' BALM
ANTIVIRUS OINTMENT
DESTROYS GERMS
AND PREVENTS THEIR DEVELOPMENT
Send for FREE SAMPLE
MEDICO-BIOLOGICAL LABORATORIES Ltd
CARGREEN ROAD, LONDON, S.E. 25

MINISTERSTWO WYZNAŃ RELIGIJNYCH I OŚWIECENIA PUBLICZNEGO
zawiadamia o wydaniu następujących podręczników
KS. MGR. C. KRZYSZKOWSKI
"PODRĘCZNIK RELIGII RZYMSKO-KATOLICKIEJ"
str. 286. Cena 4/-
ANATOL LEWICKI
"ZARYS HISTORII POLSKI"
TOM I.
Wydanie nowe, poprawione i uzupełnione przez Dr. J. Jasnowskiego i Dr. F. Lenczowskiego.
str. 264 i mapy. Cena 7/-.
Do nabycia w polskich księgarniach i kioskach.

Dla Polaków w Rosji: £10,834

Szanowna Redakcjo,
Przesyłam £1 na Polski Czerwony Krzyż od Miss Richmond, Falkirk, Reunie Str. 24, z prośbą o zamieszczenie w rubryce ofiar.
Z poważaniem
/podpis nieczytelny/

* * *

Bezimiennie na pomoc dla Polaków w Rosji Postal Order na sh.5.

* * *

"Polska Walcząca",
Proszę o przyjęcie 6 szylingów /sześć szylingów/ jako drobny datek dla Polaków w Rosji.
X.Y.

* * *

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £1.11.0 /słownie: jeden funt, jedenaście szylingów/ przekazaliśmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.
Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £10,834.1.5 /słownie: dziesięć tysięcy osiemset trzydzieści cztery funty, jeden szyling i pięć pensów/, 28 dolarów kanadyjskich, 108 pesetów hiszpańskich, 5,50 dolarów amerykańskich, 15 czerwieńców i 100 milrejsów brazylijskich.

* * *

POLISH CHILDREN RESCUE FUND

W załączeniu przesyłam czek na kwotę £7.15.6 /siedem funtów, piętnaście szyl., d.6/ zebrane wśród oficerów Kasyna w M. z przeznaczeniem na Polish Children Rescue Fund.
Prezes Kasyna mjr. Fr.

* * *

£1 — Nieprzyjęty przez Ks. kap. Gajdzika — przekazuję na dzieci polskie z Rosji.
Kreślę się z poważaniem
M.M.

* * *

Zamiast kwiatów w dniu Imienin Komendantki Głównej P.S.W.K. p. Marii Leśniakowej — składa na Fundusz Pomocy Dzieciom w Kraju £8 sh.13 — Kadra Oficerska i Podoficerska Obozu Rozdzielczo — Wyszkoleniowego P.S.W.K.

* * *

Sumę £17.8.6 /słownie: siedemnaście funtów, osiem szyl., sześć pensów/ przesłaliśmy do Polish Children Rescue Fund.

POSZUKIWANIA

RUSINEK JULIANA, ur. w 1924 r. w Miłowie, woj. Tarnopolskie, poszukuje matka Władysława, Country Club, Refugee Camp, Karachi, India. Wiadomości udzielić może p. T. Parczewski za pośrednictwem Redakcji "Polski Walczącej".

P. ŚWIERKOSZ JULIAN ostatnio zamieszkały w Kirkcaldy i Edinburghu, proszony jest o podanie swego aktualnego adresu do redakcji "Polski Walczącej".

Zbiórka książek

Szanowny Panie Redaktorze.
Przesyłam w załączeniu 4 książki dla polskich dzieci.
chor. Śl.

Załączone: Ligocki: "Złota chorągiew", "Antologia poezji współczesnej", "Walki w obronie granic", Cz. Jeśman: "Klejnot srebrzystych mórz".

* * *

Do Redakcji "Polski Walczącej",
Przy niniejszym przesyłam dla naszych oddziałów na Bliskim Wschodzie następujące wydawnictwa: Historia Polski /2 tomy/, Marcin Kozera, Marsz odwetowy, Przylądek Dobrej Nadziei, Polska w zwyczaju i obyczaju.
Łączę wyrazy poważania
ppor. B.S.

Dyrekcja Polskiej Y.M.C.A. w Wielkiej Brytanii poszukuje pracowników /mężczyzn do lat 50 i kobiet do lat 45/ do pracy w świetlicach i kantynach na wyjazd poza Wielką Brytanię.

Warunki przyjęcia: a/ obywatelstwo polskie, b/ dobry stan zdrowia, c/ wykształcenie najmniej średnie ogólnokształcące lub zawodowe, d/ praktyka w pracy społecznej.

Zgłoszenia tylko pisemne z podaniem dwu referencyj oraz z krótkim życiorysem przesyłać pod adresem: **Polska Y.M.C.A. w Wielkiej Brytanii,** Nash House, 391a. Maddox Street, London, W.1.

Na "paczki od serca": £2,559

Dla uczczenia imienin syna przesyłam na "paczki od serca" dla naszych jeńców w Niemczech £5.
M.L. płk.

* * *

Pracownicy Wydziału Prac Kulturalno Oświatowych Min. Obron. Nar. stosownie do decyzji dobrowolnego, stałego opodatkowania przesyłają za miesiąc marzec 1944 r. £11.14.0 /jedenaście funtów, czternaście szyl./.

* * *

W załączeniu przesyłam money order na sumę £4.17.0 dla jeńców polskich w Niemczech. Kwota została zebrana podczas koncertu zorganizowanego przez artystów szkocko-polskich z inicjatywy por. H.St. w szpitalu im. Paderewskiego w Edinburgu.
Zarząd szpitala

* * *

Do Redakcji "Polski Walczącej",
W załączeniu przesyłam British Postal Order na sumę sh.5 /słownie: pięć szylingów/ na Jeńcow Polskich w Niemczech.
Powyższą kwotę przesyła serdeczny przyjaciel Polaków Mr. Stein z R.A.F.
Oficer oświatowy ppor. L.

* * *

Do Redakcji "Polski Walczącej",
W załączeniu przesyłamy "Postal Order" na sh.15 z prośbą o przekazanie tejże sumy na paczkę świąteczną dla najbardziej potrzebującego jeńca.
Z poważaniem
"Pacjenci szpitala"

Szanowny Panie Redaktorze,
W załączeniu przesyłam £3.10.0 /trzy funty, dziesięć szylingów/ na paczki od serca dla jeńców w Niemczech jako wygrane w bridge'u w Spott House.
Z poważaniem
M. Kozłowska

* * *

Czołówka Teatralna "Lwowska Fala", która w dniu 20 marca b.r. rozpoczęła objazd jednostek Polskich Sił Powietrznych z programem Nr. 8 "Piąty Front", przesyła kwotę £65 /słownie: sześćdziesiąt pięć funtów/, złożoną w drodze dobrowolnych składek lotników na "paczki od serca" dla jeńców polskich w Niemczech.
Szczegółowe zestawienie zostanie ogłoszone w terminie późniejszym.

* * *

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £91.1.0 /słownie: dziewięćdziesiąt funtów, jeden szyling/ przekazaliśmy Sekcji Pomocy Polskim Jeńcom Wojennym Stowarzyszenia Służby Społecznej Kobiet.
Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £2,559,8.5 /słownie: dwa tysiące pięćset pięćdziesiąt dziewięć funtów, osiem szyl. i pięć pensów, 50 milrejsów brazylijskich i 2 dolary amerykańskie.

WERINAJSEK

... ŚMIEJMY SIĘ — BO KTO WIE CZY WOJNA POTRWA TRZY TYGODNIE ...

Wszystkim Czytelnikom "Werinajska" przesyłamy serdeczne życzenia ostatniego, wesołego "jajka w proszku"

POD ZNAKIEM LITERY "V"

Fazy motylka i cygara w okresie pięciu lat wojny ...

W LONDYŃSKIEJ KOLEJCE PODZIEMNEJ W CZASIE NALOTU

—Panie poruczniku, ci obok, to rodacy?
—Tak, jeden jest uciekinierem z Marble Arch, drugi z Piccadilly ...

MIĘDZY POLKAMI

—Pani chyba przypomina sobie blitz w Londynie?
—Wypraszam sobie podobne żarty. Za chwilę pan zapyta, czy pamiętam bitwę pod Trafalgar! ...

NA POLU GOLFOWYM

Krótkowzroczny małżonek:
—Ta moja żona, zawsze musi pogubić jajka ...

MIŁOŚNICZKA DROBIU

—Ach, jakie ładne świąteczne jajka macie państwo — mówi Angielka na widok pisanek. Czy mogę wiedzieć z jakiego skrzyżowania kogutów pochodzą?

INOWACJE

Mówią, że w Wielkim Tygodniu w naszym środowisku mają być wprowadzone pewne inowacje. Zamiast tradycyjnego obmywania nóg, ma być "zmywanie głów".

* * *

W okresie *"rations"* zamiast tradycyjnego dzielenia się jajkiem ma być wprowadzony zwyczaj — pudrowania się jajkiem ...

ACH TA WOJNA!

—Niewierna! Skąd się wzięło to czarne jako?
—Mój drogi, to wszystko przez ten black-out! ...

AUTENTYCZNE

Jeden z naszych myśliwców wystartował na pierwszy lot bojowy. Po drodze ślubuje sobie: Żebym tylko spotkał Szwaba — daje słowo, że więcej nie wezmę whisky do ust! ...
W godzinę później zjawia się Szwab. Nasz lotnik dodaje gazu, ściga go, lecz Niemiec stale się oddala ...
—No i co, zestrzeliłeś go?
—Na szczęście nie! Mogę dalej pić! ...

GDZIEŚ W SZKOCJI

—Czy wiecie, że nami zainteresowała się polska intendentura?
—No i co?
—Mamy być odkomenderowane ... na święta ...

MIŁOŚNIK MUZYKI

Na pewien koncert polsko-szkocki pakuje się podgazowany ułan Ciuciurupka.
—Nie mogę was wpuścić — mówi wachmistrz.
—Dlaczego? Ja mam bilet!
—Niestety nie możecie wejść na salę!
—Czyżby było pełno?
—Nie, tylko jesteście pijani!
—A co pan wachmistrz myśli, że jabym kupił bilet w stanie trzeźwym?

W BARZE NA PICCADILLY

Hej! Two double Scotch, zawołał
Prąc się naprzód z dziarską miną.
Sorry, nie ma — głos "aniołą,"
Warknął cierpko — również Gin'u!
By kolejki swej nie zgubić,
Obstalował piwa dwa,
Bo jak nie ma co się lubi,
To się pije co się ma.

P. Kul

PO 10 LATACH WOJNY

Policjant: — Sorry, proszę się nie pchać! Czyście państwo nie widzieli jajka?

DOKŁADNE INFORMACJE

Gdzieś w Szkocji odbywają się ćwiczenia czołgów. Nagle czołg zjeżdża z drogi i z całą siłą pakuje się w dom. Ściany pękają, tynk leci i potwór wjeżdża do kuchni.
—*Sorry* — wymamlał czołgista do przerażonej pani domu. — Chciałem skręcić w stronę Glasgowa i teraz straciłem orientację.
—Niech się pan nie martwi! Najpierw musi pan skręcić w lewo — przez jadalnię, później w prawo — przez salon i ma pan prostą drogę na Glasgow przez łazienkę ...

NASI W SZKOCJI

—Feluś, słyszałeś, że oblewany poniedziałek ma być skasowany?
—Dlaczego?
—Whisky zdrożała ...

DOMYŚLNA "WAAFKA"

Angielka: — Dziwni są ci Polacy! Mam im napisać pisanki! ...

Tekst i rysunki: TONY

LONDON FLATS
37, Dorset Str. (przy Baker Str.), W.1. ofiarowuje:
UMEBLOWANE ORAZ NIEUMEBLOWANE MIESZKANIA I POKOJE
Tel.: WEL 3302.

SPIS RZECZY:

Stanisław Szurlej: Na prostej drodze. — *Zdzisław Borysowicz:* Zmartwychwstanie /rysunek/. — *Józef Winiewicz:* Anglia i Europa. — Rezurekcyjne dzwony. — *Adam Pragier:* Granica polsko-niemiecka. — *Jerzy Grobicki:* W traktierni na via Archimede /zdobił *Stefan Osiecki*/. — Krystyna *Kopczyńska-Sadowska:* Herby miast polskich /rysunek/. — *Bolesław Pomian:* Toast /zdobiła *Janina Konarska*/. — *Tadeusz Pniewski:* Szkraby i dryblasy /Korespondencja własna "Polski Walczącej"/. — *Maria Brzeska:* Polska — żywymi oczami. Z Niemcami pod jednym dachem. — *Ludwik Bojczuk:* Archiwum Polskich Sił Zbrojnych. — *Zbigniew Grabowski:* Szkic sytuacyjny. — Z tygodnia na tydzień. — *Julian Ginsbert:* Wojna na morzu. — Dla Polaków w Rosji. — Zbiórka książek. — Na "paczki od serca". — *Tony:* Werinajsek. — Fotografie. — Rysunki.

Ukazał się
SŁOWNIK WOJSKOWY
ANGIELSKO-POLSKI I POLSKO-ANGIELSKI
oprawny w płótno w formacie kieszonkowym.
Zawiera około 16,000 słów i zwrotów, obejmujących słownictwo ogólno-taktyczne i techniczne wojsk lądowych, marynarki wojennej i lotnictwa z uwzględnieniem gwary wojskowej, jak również ordery i odznaczenia polskie i brytyjskie, porównanie miar i wag oraz temperatur.
Cena Słownika: 6 sh.
Słownik można nabyć przez oficera gospodarczego danej jednostki wojskowej lub bezpośrednio w Centralnej Komisji Regulaminowej—Polish Forces P/66—po przesłaniu należności w formie Postal Order (bez wymienienia odbiorcy).

BĄDŹ RZEŹKI
Nie upadaj na duchu z powodu zmęczenia lub pogarszającego się stanu zdrowia. Używaj pasa LINIA BELT, który umiejscawia opadnięte organa wewnętrzne i działa jako masaż, usuwający tłuszcz oraz przywraca młodzieńczy wygląd.
Ograniczoną ilość pasów Linia Belt ofiarowuje.
J. ROUSSEL LTD.,
179-181 Regent Street, London, W.1. tel. REG 7570
oraz w Birmingham, Glasgow, Liverpool, Manchester itp
Używaj pasa LINIA BELT

WYDAJE WYDZIAŁ PRAC KULTURALNO-OŚWIATOWYCH MIN. OBR. NAROD.
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. I-e piętro.
Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej—13-ej.
Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.
Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam—sh.20. Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy—2sh. za wiersz.
Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506.

Printed for "Polska Walcząca" by St. Clements Press, Ltd., Portugal St., Kingsway, W.C.2. Registered at the G.P.O. as a newspaper.

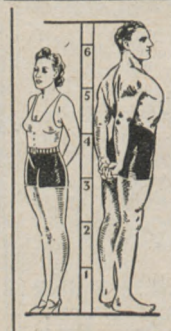
BE TALLER!
INCHES PUT YOU MILES AHEAD!
Increased my own height to 6ft. 3½ins.
CLIENTS GAIN 1 to 6 inches
No Appliances—No Tablets—No Dieting
Ross System Never Fails
Fee £2 2s. Complete
Details 6d. tamp
MALCOLM R. ROSS
Height Specialist
BM/Hyte, London, W.C.1